



Or 618

804

JUY DE MAUPASSANT

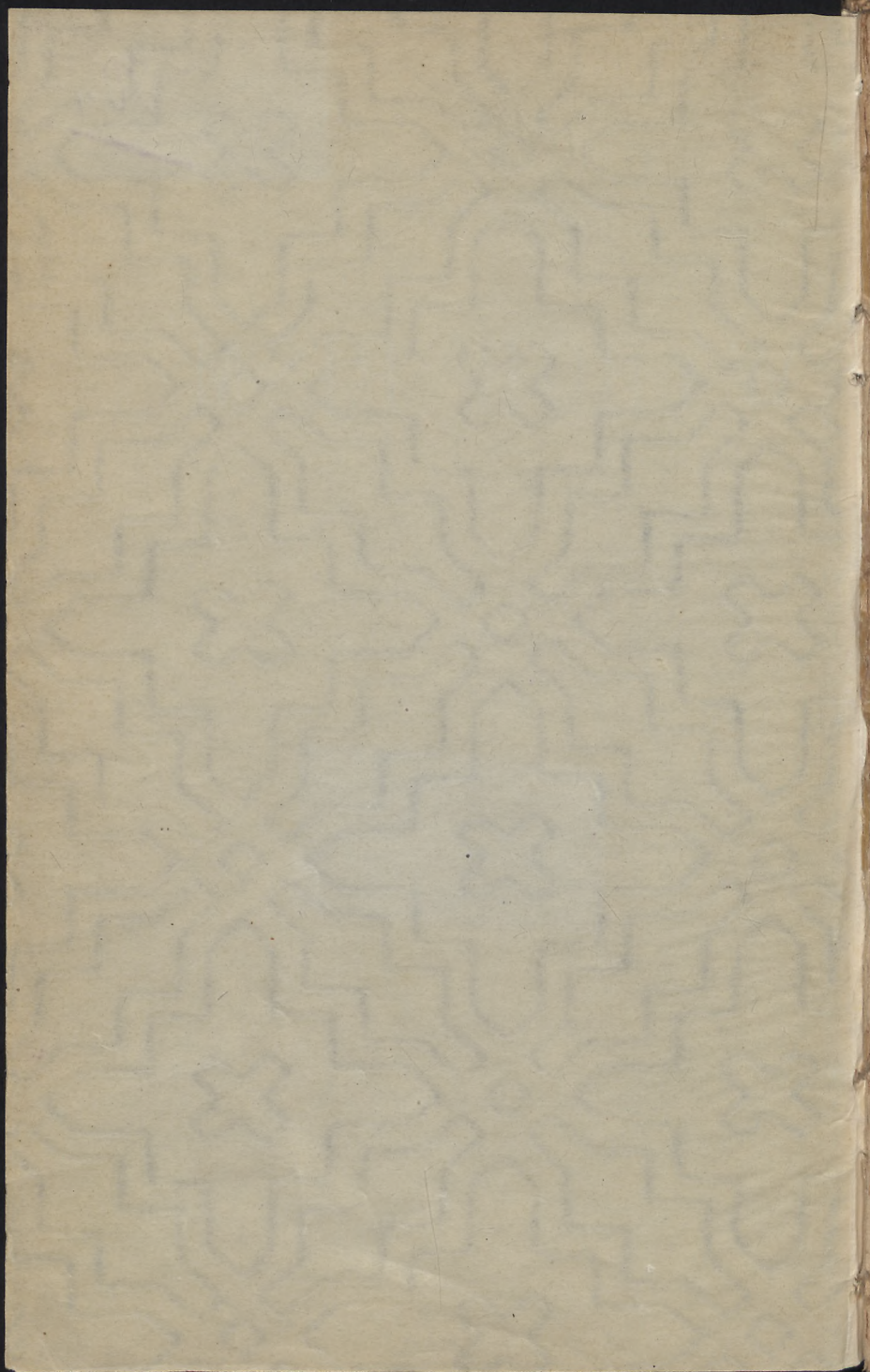
# WYBÓR PISM.

OJCIEC AMABLE  
I INNE NOWELE

KRAKÓW — WARSZAWA

Wydawnictwo i Drukarnia św. Józefa w Krakowie

1913



22/18  
GUY DE MAUPASSANT.

# WYBÓR PISM.

OJCIEC AMABLE  
I INNE NOWELE.

KRAKÓW — WARSZAWA.

Księgarnia i Drukarnia związkowa w Chrzanowie.

1914.

82-3.



Man

Wy6

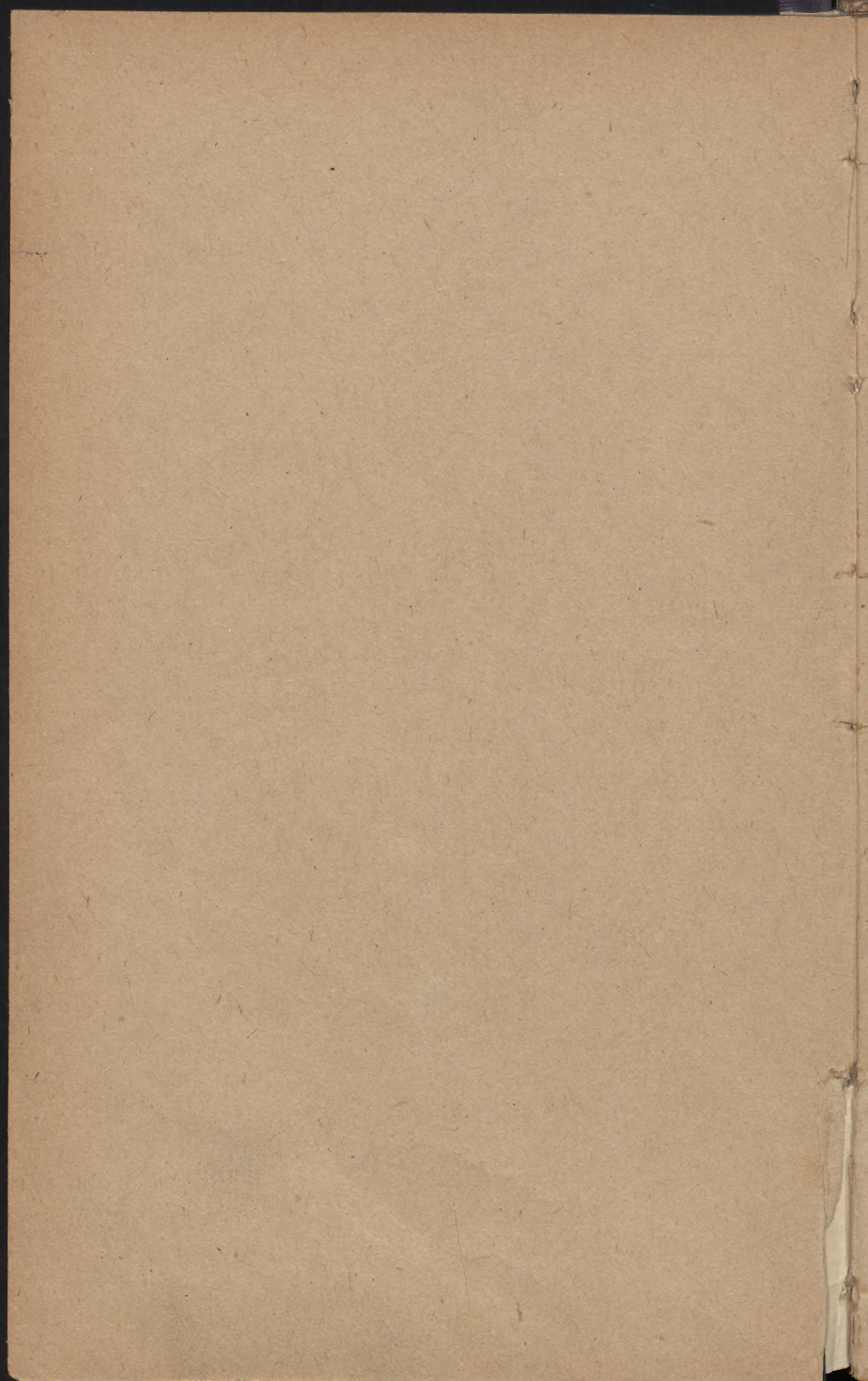
368

A. JANCZEWSKI

---

OJCIEC AMABLE.

125





## I.

Wilgotne i szare niebo zdawało się wisieć nad szeroką ciemną doliną. Zapach jesieni, smutny zapach nagiej i wilgotnej ziemi, opadłych liści, martwych ziół, czynił jeszcze gęstsze i cięższe powietrze jesiennego wieczoru.

Wieśniacy pracowali jeszcze, rozproszeni po polach, oczekując dzwonu na Anioł pański, któryby zwołał ich do chat, widzianych tu i ówdzie, po przez gołe gałęzie sadów.

Na kraju drogi, na kupie badyli bawiło się ziemniakami małe dziecię, podrzucając nimi na nędzną sukienczyne rozpostartą na szeroko rozłożonych nóżkach, podczas gdy w pobliżu, na roli, pięć kobiet schylonych kopało ziemniaki.

Powolnym i monotonnym ruchem zagłębiały kopaczki w wysokich, piaszczystych bruzdach, wygrzebywały rękami ziemniaki, wrzucając je do stojących przed nimi worków.

Drogą przeszedł młody mężczyzna z batem w ręce w sabotach na nogach, — zatrzymał się przy dziecku, wziął je na ręce i pieścił. Jedna z kobiet na roli wyprostowała się i zbliżyła się do niego. Była to roślą, czerwona dziewczyna,

szeroka w biodrach i piersiach, wielka samica normandzka o jasnych włosach i rumianej cerze.

Tonem stanowczym odezwała się :

A, to był Cezar, — no i cóż nowego mi powiesz ?

Mężczyzna, chłopak nędzny, o smutnym wyrazie twarzy odburknął :

Ja? nic nowego, zawsze to samo.

On nie chce ?

Nie chce...

Cóż zatem robisz ?

Czy ja wiem sam co robić ?

Idź do proboszcza.

Dobrze, pójdę...

Ale idź zaraz.

Dobrze, pójdę zaraz.

Popatrzyli chwilę na siebie, on trzymał ciągle dziecko na rękach, uścisnął je znowu i oddał na ręce dziewczyny.

Na horyzoncie, między dwoma domostwami widać było pług ciągniony przez konia i mężczyznę idącego za pługiem. Na tle ciemniejszego wieczornego nieba przesuwali się obaj, koń i człowiek, lekko jak cienie.

Kobieta zaczęła na nowo.

A więc cóż mówi twój ojciec ?

Mówi że nie chce.

Dlaczego nie chce ?

Chłopak wskazał ruchem głowy dziecko, które posadził z powrotem na ziemi, potem wzro-

kiem wskazał jej mężczyznę idącego w oddali za pługiem.

Bo masz z nim dziecko, odrzekł.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a potem wybuchła z gniewem.

I cóż z tego ! Każdy wie że mam dziecko z Wiktorem. Więc co ? czy to ja jedna co tak zgrzeszyłam ? Moja matka tak grzeszyła przedtem nim mnie miała, a także i twoja, zanim twój ojciec z nią się ożenił. Która tak nie robiła w naszej wsi ? Tak ! Ja zgrzeszyłam z Wiktorem, wziął mnie w stodole jak spałam, prawda, zgrzeszyłam z nim potem jak nie spałam, czyż przez to mniej jestem warta jak inne ?

Chłopak odrzekł dobrodusznie :

Ja cię chcę, taką jak jesteś, z tem dzieckiem, lub bez niego. Ojciec mój tylko się sprzeciwia ale i temu da się jakoś zaradzić.

Idź zaraz do probostwa, mówię ci.

Idę, idę...

I poszedł swym ciężkim krokiem wieśniaka, dziewczyna zaś z rękami na biodrach wróciła kopać ziemniaki.

Rzeczywiście Cezar Houlbreque, syn głuchego, starego Amablea Houlbrèque'a chciał się ożenić wbrew życzeniu ojca z Celestyną Lèresque, która miała dziecko z Wiktorem Lecoq, zwyczajnym parobkiem we fermie jej rodziców, wypędzonego przez nich za to.

Na wsi nie istnieje zresztą kastowość hierarchii, i parobek jeśli jest pracowitym i weźmie

fermę na siebie, staje się równym swemu dawnemu panu.

Cezar idąc z batem w ręce rozmyślał głęboko ciężko stąpając sabotami oblepionymi błotem.

Zapewne, pragnął poślubić Celestynę, wziąć ją razem z dzieckiem, była bowiem kobietą jakiej potrzebował. Nie umiałby wprawdzie określić dlaczego ale był pewnym swojego wyboru. Wystarczyło mu tylko spojrzeć na nią by być o tem przekonanym, aby się czuć dziwnym, całkiem poruszonym, jakby ogłupiałym ze zadowolenia. Przyjemnym mu było nawet uciszać dziecko Wiktora, bo było i jej zarazem. Bez nienawiści też patrzył na daleki profil człowieka, który popychał przed sobą pług daleko na kraju horyzontu.

Ale ojciec Amable przeciwnym był temu małżeństwu, sprzeciwiał się mu z zaślepieniem kaleki, z gwałtownym uporem. Nadaremnie Cezar krzyczał mu do jednego ucha, przez które jeszcze nieco słyszał:

Będziemy się dobrze opiekować ojcem zapewniam cię że to jest dobra dziewczyna, pracowita, oszczędna.

Stary powtarzał zawsze: póki ja żyję nie zobaczę tego nigdy.

I nic nie mogło go poruszyć i osłabić jego uporu. Jedna tylko pozostawała dla Cezara nadzieja. Ojciec Amable czuł lęk przed proboszczem lęk powodowany bliskością śmierci, którą czuł, że nadchodzi. Zresztą nie obawiał się tak bardzo ani Boga, ani djabła, ani piekła, ani czyścica, o

których pojęcia nawet dobrego nie miał, ale obawiał się księdza, który był niejako uosobieniem pogrzebu, tak jak obawiać się można lekarzy przez lęk przed chorobami. Od ośmiu dni od których Celestyna poznała tę słabość starego, popychała Cezara, by poszedł do proboszcza. Cezar się wahał, nie lubił i on bowiem czarnej sutanny, która znowu dla niego przedstawiała ręce wyciągnięte po datek, lub lekko zarobiony kawałek chleba.

Zdecydował się atoli na to właśnie i skierował się ku probostwu, myśląc nad sposobem przedstawienia swej sprawy. Proboszcz Raffin, mały, żywy ksiądz, chudy, nigdy nie golony, czekał na obiad grzejąc nogi przed kominkiem. Za wejściem Cezara odwrócił zaledwie głowę i zapytał :

A, to ty Cezar, — no i cóż ty mi powiesz ?

Pragnąłbym z Jegomością pomówić — odrzekł Cezar i zatrzymał się zakłopotany przy drzwiach, trzymając w jednej ręce bat, a w drugiej czapkę.

Mów zatem.

Cezar spoglądając na starą gospodynię księdza, zajętą nakrywaniem do stołu, nieśmiało powiedział :

Kiedy to proszę łaski księdza proboszcza, jest tak, jakby spowiedź.

Proboszcz Raffin, z uwagą spojrział na wieśniaka, spostrzegł jego zakłopotanie, jego nieśmiałość i niespokojny wzrok i zawołał :

Maryo, idź sobie na pięć minut do swego pokoju, mam coś do pomówienia z Cezarem.

Służąca gniewnym wzrokiem obrzuciła chłopaka i mrużąc wyszła.

Ksiądz zwrócił się do Cezara: — No, wywnętrz się Cezar.

Chłopak wahał się jeszcze, spoglądał na swoje saboty mnąc czapkę w rękach, potem nagle zdecydował się:

Oto, żenić się chcę z Celestyną.

Dobrze chłopcze, a któż ci to broni?

Ojciec mój nie chce.

Twój ojciec?

Tak, mój ojciec.

A cóż on ma przeciw temu?

To, że ona ma dziecko.

Ach, no! ona nie pierwsza, której się to zdarza od czasu naszej matki Ewy.

Ona ma dziecko z Wiktorem, z Wiktorem Lecoq, służącym od Antyma Loisel.

Tak, tak, — i dlatego on nie chce?

Dlatego.

No i jakże ty go chcesz przekonać?

Przedstawiam mu że ona jest dobrą dziewczyną, pracowitą i oszczędną.

I to mu nie wystarczy? Chcesz zatem bym z nim pomówił?

Bardzo proszę o to Jegomości.

A cóż mam powiedzieć twemu ojcu, czem go przekonać?

No, to co mówi ksiądz proboszcz na kaza-

niach, żeby skłonić do dawania składek.

W umyśle biedaka cały wysiłek religii polegał na otwieraniu sakiewek i wypróżnianiu kieszeni ludzi żeby napełnić skarbami niebo. W jego pojęciu było to jakby jakiś ogromny dom handlowy, którego agentami byli księża, agentami do tego przebiegłymi, chciwymi, zachłannymi agentami robiącymi interesa dla pana Boga, a ze szkodą wierzących biedaków. Wiedział wprawdzie dobrze, że księża czynią wiele dobrego, szczególnie dla najbiedniejszych, chorych, umierających, że pocieszają, radzą, podtrzymują — ale że w miarę swoich zasobów, w zamian za białe pieniążki pięknie błyszczące srebro, opłacające sakramenta, msze, rady, protekcyje, przebaczenie grzechów lub ich pobłażanie, czyściec albo raj w miarę bogactw i szczodrości grzesników.

Ksiądz Raffin który znał swych ludzi nie obrażał się nigdy, roześmiał się.

Dobrze mój drogi opowiem mu tę małą historijkę, ale ty chłopcze musisz przyjść na to kazanie.

Cezar położył rękę jak do przysięgi:

Przysięgam że przyjdę, jeśli ksiądz proboszcz dla mnie to zrobi.

Zatem dobrze. A kiedyż ja mogę się z twoim ojcem zobaczyć?

Im wcześniej, tem lepiej, zaraz — jeśli łaska.

Będę za pół godziny, — przyjdę po wieczerzy.

Za pół godziny!

Zatem ułożone, — dowidzenia mój chłopcze.

Do zobaczenia, bardzo dziękuję.

Nie masz za co, mój chłopcze.

I Cezar powrócił do swego domu, czując że wielki ciężar spadł mu z serca.

Cezar Houibrèque dzierżawił małą, bardzo małą fermę, nie byli bowiem bogaci, ani on, ani jego ojciec. Żyli marnie, sami, przy pomocy służącej, dziecka lat piętnastu, która gotowała im pożywienie, pilnowała kur, doila krowy i robiła masło. Cezar był dobrym rolnikiem ale zamało mieli ziemi i zamało bydła, ażeby wydobyć więcej ponadto co dla nich samych było konieczne. Stary już wcale nie pracował. Ponury jak wszyscy głusi, rozbolały, pomarszczony i przygarbiony, łąził po polach podpierając się kijem, spoglądając na ludzi i zwierzęta wzrokiem twardym i nieufnym. Czasem siadał na brzegu rowu i trwał tak godzinami bez ruchu, zamyślony nad rzeczami, które niegdyś go obchodziły, nad cenami jaj lub zboża, nad deszczem lub słońcem, które pomagają lub przeszkadzają rósć plonom. I dręczony reumatyzmem jego stare członki, chłoneły jeszcze wilgoć ziemi, tak jak wchłaniały w siebie od lat siedmdziesięciu wyziewy murów jego niskiej chaty nakrytej wilgotnem poszyciem słomy.

O zachodzie słońca powracał do domu, zasiadał zawsze na tem samym miejscu w kuchni i kiedy postawiono przed nim garnek gliniany z zupą, obejmował go swymi pokręconymi pal-



cami i grzał obie ręce, zimą czy latem, zanim rozpoczął jeść; ażeby nic nie stracić, ani odrobiny gorąca zużytego ognia, który drogo kosztuje, ani jednej kropli zupy okraszonej nieco tłuszczem i solą, ani okruszyny chleba.

Po wieczerzy, wydrapywał się po drabinie na strych, gdzie miał swe legowisko ze słomy, syn zaś jego sypiał na dole w rodzaju niszy koła komina, służąca zaś zamykała się w rodzaju piwnicy, czarnej dziury, służącej niegdyś za schowek na ziemniaki.

Syn i ojciec prawie nigdy nie rozmawiali ze sobą, Od czasu do czasu tylko gdy rozchodziło się o sprzedaż zbiorów, lub kupno krowy, młody człowiek pytał się ojca o zdanie i robiąc z rąk rodzaj tuby, krzyczał mu do ucha swe argumenta.

Ojciec Amable zgadzał się lub sprzeciwiał głosem wolnym, skrzeczącym, wydobywanym gdzieś z brzucha.

Jednego wieczoru, Cezar zbliżywszy się do ojca tak, jakby się to rozchodziło o kupno konia lub krowy, oznajmił mu, krzycząc na cały głos do ucha, że ma zamiar żenić się z Celestyną.

Stary zgniewał się. Dlaczego? Czy ze względu na moralność? Zapewnie że nie... Na wsi cnota dziewczyny niema znów takiej wartości. Ale jego skąpstwo, jego okrutny i głęboki instykt oszczędności, oburzał się na myśl że syn jego będzie żywił obce dziecko. W jednej sekundzie myślał o tych wszystkich zupach i strawach, które połykałby ten dzieciak, zanimby doszedł do

wieku kiedy stałby się pożytecznym przy gospodarstwie, obliczał wszystkie te kawałki chleba, te wszystkie szklanki jabłeczника któreby zjadł ten malec do lat czternastu, — i szalony gniew w nim się rozbudził na Cezara, który widocznie nie pomyślał o tem wszystkim.

Z gwałtownością wybuchnął:

Czyś ty zmysły postradał, czy co?

Ale Cezar począł mu wyliczać swoje racye, opowiadać o przymiotach Celestyny, udowodniać że ona sama sto razy więcej zarobi, aniżeli ten malec będzie kosztował. Stary jednak nie wierzył w te korzyści i z uporem bez dalszych wyjaśnień obstawał przy swoim.

Ja nie chcę, nie chcę... póki ja żyję to się nie stanie.

Od trzech miesięcy zostało na tem bez porównienia ich zresztą między sobą. Raz w tygodniu rozpoczynali na nowo tę samą dysputę, używając tych samych argumentów, tych samych słów, z tą samą bezużytecznością.

Wtedy to Celestyna poradziła Cezarowi żeby udał się o pomoc do miejscowego proboszcza.

Wróciwszy do domu Cezar zastał swego ojca już przy stole, spóźnił się był bowiem z powodu swej bytności na probostwie.

Wieczerali w milczeniu, jeden naprzeciw drugiego, — zjedli po kawałku chleba z masłem po zupie, zapijając go szklanką jabłeczника, potem nieruchomo siedzieli na stołkach, zaledwie oświetleni płomykiem świecy, którą ich mała słu-

żąca przyniosła do mycia łyżek i szklanek i nakrajania kawałków chleba do śniadania o świcie dnia następnego.

Kołatanie do drzwi przerwało ciszę i równocześnie w progu zjawił się ksiądz. Stary podniósł na niego wzrok pełen podejrzania i przeczuwając niebezpieczeństwo, gotował się już do wygramolenia na swoją drabinę, kiedy ksiądz Raffin położywszy rękę na jego ramieniu, krzyknął mu w twarz:

Mam coś do pomówienia z wami, ojcie Amable.

Cezar korzystając z otwartych drzwi, zniknął. Tak się bał, że nie chciał nic słyszeć. Nie chciał, żeby jego nadzieja rozpadała się z każdym słowem odmownym jego ojca. Wolał naraz potem dowiedzieć się całej prawdy, złej, lub dobrej, byle później. I puścił się w noc ciemną. Był to wieczór bezksiężycowy, wieczór bez gwiazd, jeden z tych mglistych wieczorów, kiedy powietrze staje się szarem i ciężkiem z przesylenia wilgocią.

Mdła woń ziemniaków rozchodziła się z podworców, był to bowiem czas kopania ziemniaków. Z ciasnych otworów stajen mijanych przez Cezara, wydobywały się gorące opary spiących bydła na gnijącej słomie, ze stajen dochodził go łupot koni stojących u żłobu i chrzęst wyciąganego z poza drabin siana.

Idąc przed siebie, myślał o Celestynie. W tym prostym umyśle, w którym idee niebyłyby niczem

innem jak obrazami czerpanemi wprost z odbieranych wrażeń, uczucia miłosne powstawały wywołane jedynie obrazem wielkiej czerwonej dziewczki, stojącej na skwencie drogi, śmiejącej się, z rękami na szerokich biodrach.

W taki sam sposób spostrzegł jednego dnia pragnienie Celestyny. Znali się przecież od lat dziecinnych, nigdy jednak przedtem, jak tego ranka, nie zwrócił na nią swojej uwagi. Wtedy rozmawiał z nią czas krótki, potem odszedł i idąc myślał i powtarzał sobie: O Chryste! Jakaż to piękna dziewczyna. Jaka szkoda że zbłądziła z Wiktorem. — Do wieczora myślał wciąż o tem, tak samo nazajutrz.

Gdy się na trzeci dzień znowu z nią zobaczył, uczył coś w rodzaju łaskotania w głębi gardła, jakby mu kto przez usta wsadził pióro kogucie i niem kręcił, a potem ilekroć z nią się spotykał, odczuwał ten sam rodzaj tego dziwnego łaskotania.

W trzy tygodnie potem postanowił ożenić się z nią, — tak mu się spodobała.

Poprzednim jej błędem nawet się nie niepokoił. Ostatecznie przez to było gorzej, ale jeszcze nie całkiem źle, — nie miał nawet urazy o to do Wiktora.

Ale jeśli proboszcz u ojca jego nic nie uzyskał co będzie robił? — Myśl ta zaniepokoiła go tak, że nie chciał nad nią zatrzymywać się dłużej.

Poszedł pod plebanie, usiadł przed małą furtką i oczekiwał powrotu proboszcza.

Pół godziny upłynęło gdy usłyszał kroki na drodze i mimo że noc była ciemna, rozróżnił jeszcze silniejszy cień sutanny. Porwał się na nogi nie śmiać nawet przemówić, niechcąc nawet dowiedzieć się prawdy.

Ksiądz spostrzegł go i zawołał wesolo:

No, mój drogi chłopcze, sprawa twoja jest załatwiona.

Cezar nieśmiało przemówił:

Załatwiona!... Czy to możliwe?

Tak mój chłopcze, — choć nie bez trudu —  
Co za stary nudziarz ten twój ojciec!

Wieśniak powtarzał: Niemożliwe, niemożliwe!

Tak, tak! — mój chłopcze. Przyjdź do mnie jutro w południe dać na zapowiedzi.

Cezar pochwycił gorąco rękę proboszcza, ścisnął ją, wstrząsał, pocierał, bełkocząc: A więc to prawda, prawda! Księżu proboszczu . . . słowo honoru, zobaczy mię z pewnością ksiądz proboszcz, w niedzielę na kazaniu.

## II

Ślub odbył się w połowie grudnia, był bardzo skromny, nowożeńcy nie byli bowiem bogaci, Cezar odziany w nowe ubranie, o godzinie ósmej rano był już gotów, by udać się po swą narzeczoną i zaprowadzić ją do mera. Ale było jeszcze zawcześnie, siadł zatem przy stole w kuchni i o-

368



czekiwał swych krewnych i kilku przyjaciół, którzy mieli asystować tej uroczystości.

Od dni ośmiu padał śnieg i czarne role pokryte już jesiennymi zasiewami obieleł lodowaty szron.

Zimno było w chatach okapturzonych białą warstwą śniegu, sady okryte sędzieliną zdawały się kwitnąć, obielone jak w pięknych miesiącach pokwitania.

Tego dnia, wielkie chmury pędzone zimnym wiatrem północnym zniknęły i błękit nieba rozciągał się nad pobieloną ziemią, na którą padały srebrzyste promienie słońca.

Cezar patrzył przed siebie przez okno, nie myśląc o niczem . . . szczęśliwy...

Drzwi otwały się, weszły dwie kobiety odświętnie ubrane, ciotka i kuzynka narzeczonej, trzech mężczyzn, jej kuzynów, potem jedna sąsiadka. Pousiadali w milczeniu na stołkach, nawet nie poruszając się, kobiety w jednym, mężczyźni w drugim kącie izby, onieśmieleni tym zakłopotaniem, które obejmuje ludzi zebranych dla jakiejś uroczystości.

Jeden z kuzynów wkrótce zapytał: Czy to już nie czas?

Cezar odpowiedział: Myślę że już czas.

A więc chodźmy zawołał drugi.

Wszyscy podnieśli się. Wtedy Cezar nagłym niepokojem ogarnięty, wydrapał się po drabinie na strych, żeby zobaczyć czy jego ojciec jest gotów. Stary zawsze rano zwykle wcześniej już go-

towy, teraz nawet się nie pokazał. Syn znalazł go jeszcze na jego legowisku, zawiniętego w koldrę, oczy otwarte, mina zła. Zakrzyczał mu wprost do ucha:

No mój ojcze, wstawajcie! czas iść na ślub.

Stary zamruczał głosem bolesnym: Nie mogę, nie jestem wstanie, czuję jakieś zimno, całe plecy mam oziębnięte, ani się ruszyć nie mogę.

Młody człowiek zdumiony spoglądał na niego, przeczuwając wybieg.

Chodźcie ojcze, — trzeba się przewyciężyć.

Nie mogę!

Czekajcie, — ja wam pomogę.

Schylił się nad starcem, odwinął go z koldry wziął w swe ręce i postawił na nogi, — Ale stary począł jęczeć.

O jej! O la Boga, — ja nieszczęśliwy, — hu, hu, nie mogę, jestem sparaliżowany, to wiatr przewiał mnie przez ten przekłety dach.

Cezar zrozumiał że nic nie uzyska i wściekły pierwszy raz na swego ojca zawołał:

A no dobrze, — to nie dostaniecie dzisiaj obiadu, bo my mamy zamówiony obiad w oberży Pollyta. Może to osłabi waszą zaciętość.

Zgramolił się z powrotem po drabinie, potem udał się w drogę, za nim jego krewni i goście.

Mężczyźni pozawijali u dołu spodnie, aby ich śniegiem nie zawałać, kobiety popodnosiły spódnice odkrywając chude łydki ubrane w pończochy z szarej wełny. I szli jeden za drugim

w milczeniu, uważając by nie zejść ze ścieżki wydeptanej w śniegu przez poprzedników.

W przechodzie przez wieś, kilka osób przyłączyło się do orszaku i procesya ta wydłużyła się w nieskończoność, wijąc się na drodze zaledwie widocznej jak żywy różaniec o ruchomych czarnych paciorkach, falujący na białym tle krajobrazu.

Przed domem narzeczonej liczna grupa oczekiwała nadejścia narzeczonego. Zjawienie się go przyjęto okrzykami. Wkrótce potem wyszła Celestyna ubrana w niewielką suknię, okryta w mały czerwony szalik na ramionach, ustrojona w kwiat pomarańczowy we włosach.

Każdy dopytywał się Cezara:

A gdzież jest twój ojciec?

Odpowiadał zakłopotany.

Nie może się nawet ruszyć, ma jakieś боли.

Wieśniacy ze złośliwym uśmiechem kiwali niedowierzająco głową.

Skierowali się ku merostwu. Z tyłu za przyszlými małżonkami jedna wieśniaczka niosła dziecko Wiktora, jakby rozchodziło się o chrzest, wieśniacy zaś teraz parami, trzymając się pod ręce szli po śniegu, kołysząc się jak szalupa na morzu.

W małym domku municypalności, mer połączył narzeczonych, potem zaś ksiądz swoją koleją połączył ich w skromnym domie Bożym. Przemawiając od ołtarza obiecywał im błogosła-



wieństwo Boże, potem przypomniał im cnoty małżeńskie, zdrowe a proste cnoty wieśniacze, pracę, zgodę i wierność podczas czego dziecko zziębnięte kwiliło za plecami panny młodej.

Za zjawieniem się młodej pary u progu kościoła, z rowu cmentarza zabrzmiały wystrzały ze strzelb. Widać było tylko wyloty luf, z których wydobywały się nagłe obłoki dymów, po chwili pokazała się jakaś głowa i spoglądała ciekawie na orszak weselny. Był to Wiktor, czeżący w ten sposób ślub swej przyjaciółki i wykrzykujący jej swe życzenia wśród wystrzałów, do czego zebrał kilku swoich przyjaciół, pięciu czy sześciu parobków. Epizod ten znalazł u uczestników powszechne uznanie.

Uczta odbywała się w oberży Polyta Cacheprune'a, w dzień jarmarczny na dwadzieścia nakryć. Ogromny udziec barani obracany na rożnie, kurczęta pieczone na własnym tłuszczu, kiełbasa skwiercząca na żywym jasnym ogniu, napępniały dom ciężkim zapachem tłuszczów i wiejskiego pożywienia.

Zasiedli do stołu w południe, natychmiast zupa polala się na talerze i towarzystwo zaraz się ożywiło. Usta otwierały się ażeby opowiadać dowcipy, oczy śmiały się ze znaczącym mruganiem. Zaczęto się bawić w całej pełni.

W tem drzwi się otworzyły i zjawił się ojciec Amable. Miał minę złą, humor wściekły, włókł się na swoich laskach, jęcząc za każdym krokiem, by w ten sposób dać poznać że jest cierpiącym.

Na jego widok zamilkli wszyscy, atoli nagle jego sąsiad, ojciec Molivoire, znany dowcipniś, który znał wszystkie słabostki ludzi, począł krzyżeć zrobiwszy z rąk rodzaj tuby; — He, stary żarłoku, ale ty masz nos, żeś poczuł aż od siebie kuchnię Polita.

Obecni wybuchli ogromnym śmiechem, a Malivoire zachęcony tem powodzeniem: „Na boleści niema nic lepszego jak kataplazm“.

Mężczyźni aż zaryczeli ze śmiechu, bili pięściami w stół, tupali nogami o podłogę. Kobiety skrzeczały jak kury, służące zanosiły się od śmiechu, stojąc pod ścianą. Jeden tylko ojciec Amable nie śmiał się i nic się nie odzywając, czekał ażeby zrobiono mu miejsce.

Posadzono go w środku stołu, naprzeciw synowej, on zaś jak tylko usiadł zaraz wziął się do jedzenia. Przecież to syn jego to wszystko płacił, należało więc użyć sobie.

Z każdą łyżką zupy, która wpadała do jego żołądka, z każdym kęsem chleba, albo mięsa, kładzionym do ust, z każdą szklanką jabłecznika i wina, którą wlewał do gardła, zdawało mu się, że odzyskuje nieco ze swojego dobra, że odbiera nieco ze swoich pieniędzy, które wszyscy ci darmozjady pożerali, że ratuje choć odrobinę swojego mienia. — I zajadał się w milczeniu z przejęciem chciwca, który dusi pieniądze z twardą wytrwałością, jaką dawniej wkładał w swoją ciężką pracę.

Wtem nagle spostrzegł na końcu stołu dzie-

cko Celestyny siedzące na kolanach jednej z kobiet. Jedząc dalej nie spuszczał już z oka tego malca, któremu jego niańka dawała czasem do ust po kawałeczku pieczeni. I więcej cierpiał ten stárzec nad tymi kilkoma kęsami, które zessało to dziecko, aniżeli nad tem wszystkim co połykali drudzy.

Uczta trwała do wieczora a potem każdy wrócił do swojego domu.

Cezar podniósł swojego ojca:

Chodźmy ojcze, trzeba wracać.

I pomógł mu wziąć do ręki jego dwie laski, Celestyna wzięła na rękę swoje dziecko i poszli powoli, wśród nocy, którą rozjaśniała biel śniegu. Stary kaleka w trzech czwartych pijany i przez to jeszcze bardziej przykry, upierał się ażeby iść powoli. Kilka razy nawet usiadł w tej myśli że może jego synowa się zaziębi, i stękał i jęczał nic zresztą nie mówiąc i w ten sposób objawiał swoje rzekome cierpienie.

Za powrotem do domu, wylazł natychmiast na swój strych, podczas gdy Cezar ustawiał łóźko dla dziecka w pobliżu niszy, w której wraz z żoną miał się położyć na spoczynek.

Młodzi małżonkowie, długo jeszcze w noc słyszeli jak stary przewracał się na swoim posłaniu ze słomy. Słyszeli nawet jak kilkakrotnie głośnie mówił, jakby przez sen, czyto jakby mimowoli pozwolił głośnie wyrwać się swojej myśli, nie mogąc jej stłumić w sobie pod wrażeniem wielkiej przykrości.

Kiedy nazajutrz zeszedł po swojej drabinie, zastał już swoją synową krzątającą się koło gospodarstwa.

Spieszcie się ojcze, czeka już na was dobra zupa, zawołała.

Na rogu stołu postawiła przed nim ogromny garnek gliniany, pełen dymiącego płynu, stary usiadł, nic nie odpowiadając i wedle swego zwyczaju objął garnek swemi drżącemi rękoma, że atoli było wielkie zimno, przyciskał garnek nawet do swej piersi, ażeby w ten sposób wprowadzić w swoje stare ciało, zniszczone niewygodami nieco orzeźwiającego ciepła gorącej wody.

\* \* \*

Minęła zima, była długa i ciężka. Z pierwszymi kielkami wiosny wieśniacy na nowo jak pracowite mrówki rozpoczęli pracę w polach, od świtu do nocy, smagani wiatrem i deszczami na długich brzdach ziemi, pracując na chleb codzienny.

Dla nowożeńców dobrze zapowiadał się rok nowy. Zboża rosły bujnie i gęsto, nie uszkodzone przez spóźnione mrozy, kwitnące zaś sady zrzucały z siebie zieloną ruń trawy, swoje różowe i białe płatki kwiecistego śniegu, które obiecywały na jesień obfitość owoców.

Cezar pracował ciężko, wstawał wczesno rano, a późno powracał, żeby zaoszczędzić sobie wy-

datku na robotnika. Żona jego niejednokrotnie mu powtarzała:

Jeszcze sobie w końcu zrobisz co złego.

Zapewniam cię że nie, jestem do tego przyzwyczajony, odpowiadał.

Jednego atoli wieczoru wrócił tak zmęczony, że musiał się położyć nie zjadłszy nawet wieczery. Nazajutrz wstał wprawdzie o zwyczajnej godzinie, nie mógł atoli jeść mimo, że pościł dnia poprzedniego i wśród południa zmuszony był się położyć na nowo. W nocy chwycił go gwałtowny kaszel; i przewracał się na posłaniu gorączkując, z rozpaloną głową, o suchym języku, dręczony palącym pragnieniem. Pod wieczór poszedł jeszcze zaglądnąć na pola, ale nazajutrz musiano zawołać lekarza, który znalazł go bardzo chorym, konstatując zapalenie płuc.

I już więcej nie opuścił swojej ciemnej nisy, która mu służyła za legowisko. Z głębi tej dziury słyhać było jego kaszel, jego oddech dyszący, jego przewracanie się. Ze świecą trzeba było wchodzić do tej ciemnicy, ażeby go zobaczyć, ażeby mu podać lekarstwo, lub stawiać bańki. Spozrzedz wtedy było można jego wynędzniałą twarz, okoloną długim zarostem, ponad którą zwisała i powiewała koronka gęstej pajęczyny poruszana powietrzem. A ręce chorego leżące na szarem sukiennem pokryciu zdawały się należeć już do nieżyjącego.

Celestyna pielęgnowała go z niespokojną ruchliwością, podawała mu lekarstwa, przykładała

mu kompresy, krzątała się po domu, podczas gdy ojciec Amable siedząc na krawędzi swojego strychu, zdaleka szpiegował ciemną jamę, w której syn jego dogorywał. Nie zbliżał się wcale do niego z nienawiści do jego żony, zły na nią jak pies zazdrosny.

Sześć dni jeszcze upłynęło, wreszcie jednego poranku, kiedy Celestyna, która sypiała teraz na dwóch snopkach słomy, rzuconych na podłogę, poszła zobaczyć jak się ma jej mąż, nie usłyszała już jego oddechu. Przerażona zawołała: no, Cezar, co ty mi dziś powiesz?

Ale on nic już nie odpowiedział.

Wyciągnęła rękę, dotknęła się go i poczuła zimne ciało. Wielki krzyk wydarł się z jej piersi, bolesny krzyk mdlejącej kobiety. Cezar nie żył...

Na ten krzyk stary kaleka zjawił się na górze swojej drabiny; i kiedy spostrzegł, że Celestyna wybiegła do sąsiadów po pomoc, szybko zeszedł na dół, dotknął się ciała swojego syna i zrozumiał co się stało, poszedł i zamknął drzwi chaty od wewnątrz ażeby przeszkodzić Celestynie w powrocie i objęciu domu w posiadanie skoro syn jego już nie żył.

Następnie usiadł na stołku w pobliżu trupa swojego syna

Sąsiedzi przybiegłszy wołali i tłukli się, On ich nie słyszał. Jeden z nich rozbił szybę w oknie i wskoczył do izby. Drudzy zrobili to za nim i otworzyli drzwi. Celestyna także się zjawiła płacząc na cały głos, policzki miała spuchnięte, oczy

czerwone. Wtedy ojciec Amable zwyciężony, nie rzekłszy ani słowa, wydrapał się na swój stryszek.

Nazajutrz odbył się pogrzeb, a po tym smutnym obrzędzie teść i synowa znaleźli się sami z dzieckiem w chacie.

Była to zwykła godzina obiadu. Ona rozpałała ogień, rozdzieliła zupę i postawiła talerze na stole; stary zaś czekał siedząc na krześle i nie spoglądając nawet na nią.

Kiedy obiad był gotów zakrzyczała mu do ucha:

Chodźcie mój ojcze, trzeba coś zjeść.

Stary podniósł się, siadł na końcu stołka, wypróżnił swój garnek zupy, zjadł swój kawałek chleba posmarowany masłem, wypił swoje dwie szklanki jabłeczniaka, zabrał się i wyszedł.

Był to jeden z tych dni łagodnych, jeden z tych dni dobroczynnych, w których życie drży, wzmaga się i kwitnie na całej powierzchni ziemi.

Ojciec Amable szedł małą ścieżką prowadzącą wśród pól. Idąc spoglądał na młode zboża i młode owsy, a myślał o tem że jego biedne dziecko było już teraz w ziemi. Wlókł się swym zmęczonym krokiem, ciągnąc za sobą nogi i potykając się. A że był samotny w całej równinie, samotny pod jasnym lazurem nieba, wśród rosnących zbóż, sam jeden z jaskółkami, które bez szmeru przelatywały nad jego głową, więc idąc zaczął płakać. Następnie usiadł w pobliżu jednej kałuży i tam trwał aż do wieczora patrząc na ptaki, które zlatywały się pić z niej wodę, wreszcie gdy już

noc zapadała, wrócił do domu, zjadł wieczerzę i nic nie mówiąc wydrapał się na swój strych.

I życie poszło dalej tym samym trybem. Nic się nie zmieniło z wyjątkiem tego, że syn jego Cezar spał na cmentarzu.

Cóż zresztą miał robić? Nie mógł już pracować, nie był już do niczego więcej zdolny jak do spożywania tej strawy, którą mu podawała jego synowa. I zjadał ją w milczeniu wieczór i rano, śledząc wściekłym wzrokiem malca, który po drugiej stronie stołu zajadał się. Następnie wychodził, włóczył się po okolicy, chował się za stodoły i sypiał za niemi jedną lub dwie godziny, jakby nie chciał być widzianym, a wieczorem wracał do domu.

Tymczasem wielkie kłopoty zaczęły prześladować Celestynę. Pola potrzebowały gospodarza któryby je nadzorował i na nich pracował. Potrzeba było ciągle kogoś ktoby był w polu, — nie zwykłego najemnika, lecz prawdziwego rolnika, gospodarza, znającego się na zawodzie i troskach gospodarstwa. Sama jedna kobieta nie mogła dozorować uprawy pól, troszczyć się o cenę ziarna, zajmować się kupnem lub sprzedażą bydła. Różne myśli przychodziły jej wtedy do głowy, myśli pojedyncze, praktyczne, na których trawiła całe noce. Nie mogła się powtórnie wydać zamąż przed upływem roku, a tu trzeba było natychmiast przypilnować nie cierpiące zwłoki interesu.

Jeden zaś tylko człowiek mógł ją wybawić



z tego kłopotu, to Wiktor Lecoq, ojciec jej dziecka. Był dzielnym robotnikiem rozumiejącym się na sprawach gospodarskich. Z odrobiną pieniędzy w kieszeni jaką miał, mógł się stać dla niej doskonałą pomocą.

Wiedziała o tem wszystkim jeszcze z czasu kiedy pracował u jej rodziców.

Jednego dnia zatem zobaczywszy go przejeżdżającego mimo jej chaty z furą nawozu, wyszła ku niemu. Kiedy ją spostrzegł zatrzymał konie, ona zaś odezwała się do niego tak, jak gdyby nie widziała go dopiero od wczoraj.

Dzień dobry Wiktor, jakże ci się powodzi?  
Dobrze, jak zwykle, odpowiedział. A tobie?

A, mnie szłoby nie źle gdybym nie była sama w domu, mam masę kłopotów ze względu na pola.

Rozmawiali wówczas długo oparci o koło ciężkiego wozu. Mężczyzna kilka razy pocierał czoło pod czapką i namyślał się, podczas gdy ona, zarumieniona mówiła z zapalem, przedstawiała mu swoje argumenta i kombinacje i swoje projekta na przyszłość. W końcu on odpowiedział:

Tak, może to i będzie dobrze.

Ona podała mu rękę, jak to czynią wieśniacy przy zawarciu umowy i zapytała jeszcze:

A zatem to ułożone?

Tak, ułożone, odpowiedział i ścisnął podaną mu rękę.

A zatem do niedzieli?

Tak, do niedzieli.

Bądź zdrów Wiktor.

III.

W niedzielę wypadła odpust we wsi, coroczny odpust patrona miejscowej parafii. Od ośmiu dni pełne były drogi przeróżnych zaprzęgów i wehikulów, wiozących całe familie jarmarcznych przekupniów, przedsiębiorców loteryj, przeróżnych gier i najrozmaitszych ciekawości.

Brudne bryczki z powiewającymi na wietrze firankami, którym towarzyszył smutny pies biegnący między kołami ze spuszczoną głową, zatrzymywały się jedna za drugą na placu przed merostwem. Następnie przed każdym takim podróżującym pomieszkaniem stawiano namiot, a przez dziury w płótnie widać było różne świecące przedmioty, które tylko podniecały ciekawość i chęci do kupna przechodzących.

W dzień odpustu od samego rana wszystkie baraki i namioty były otwarte, rozpościerając przed oczami widzów swoje wspaniałości ze szkła i porcelany, a wieśniacy idący na mszę, wzrokiem zadowolenia spoglądali na te skromne wystawy, które przecież oglądali co roku. Od południa wiał się tłum ludzi na placu. Ze wszystkich sąsiednich wsi i folwarków przybywały kobiety z dziećmi, niektóre wioząc je na wózkach dzwoniących żelazem i zataczających się na boki. Inni zatrzymywali się i wyprzęgali u swoich przyjaciół. Podwórza zwykle zamknięte, natłoczone były najrozmaitszymi brykami, wysokimi, wązkimi, koślawemi, podobnemi do jakichś przedpoto-

powych towarów. Każda familija z niemowlętami na przodzie, ze starszemi z tyłu udawała się na to zebranie z miną uśmiechniętą, z widocznem zadowolaniem nadarżającej się rozrywki.

Tu jarmarczny akrobata dał w trąbę, tam katoryniarz wygrywał melodye skoczne, to znów płaczliwe, koła szczęścia zgrzytały jak płótno przy rozdzieraniu. Wystrzały z karabinu rozbrzmiewały raz po raz. A tłum przelewał się powoli przed namiotami jak płynące ciasto, cisnąc się jak trzo-da, następując sobie na nogi i wzajemnie sobie wy-myślając.

Dziewczęta trzymając się pod ręce szły rze-dami po sześć, po ośm i piały piosenki. Chłopcy szli za nimi podśmiechując się, czapki na bakier, porozpinani, zadowoleni ze siebie.

Cała okolica tam była, gospodarze, gospodynie, parobcy i służące.

Także i ojciec Amable ubrany w swój staro-świecki i spełznięty surdut, zapragnął być na tem zebraniu, nigdy go bowiem nie opuścił. Gapił się na loteryę, zatrzymywał się przed budami do strzelania, śledząc wyniki strzałów, najbardziej jednak zainteresował się wielką figurą przedsta-wiającą wymalowanego na desce pajaca, z du-żym otworem zamiast ust, do którego rzucało się piłki.

Nagle ktoś trącił go w ramię. Był to ojciec Malivoire.

A, mój stary, chodź ze mną, zapraszam cię na szklaneczkę.

Po chwili usiedli za stołem szalasu, zbudowanego na wolnem powietrzu; wypili najpierw po jednej szklance, drugiej a wreszcie i trzeciej. Następnie ojciec Amable powrócił do swojej włóczegi po jarmarku. Atoli myśli jego były już trochę zamroczone, uśmiechał się sam nie wiedząc do czego, uśmiechał się przed loteryami, przed karuzelą a przede wszystkim przed zabawą we wojnę. Najdłużej tu się zatrzymał, zachwycając się jak któryś z amatorów celnym strzałem powalił żandarma albo księdza, jedną z tych powag których instynktownie się obawiał. Wrócił jeszcze następnie do tego samego szalasu i dla orzeźwienia się, wypił jeszcze szklanę jabłecznika na swój rachunek. Tymczasem noc nadeszła. Jeden ze sąsiadów przestrzegł go: Eh, mój ojcie bo wróćcie jak będzie już po wieczery.

Ojciec Amable zabrał się z powrotem do swojej chaty. Łagodny zmierzch wiosennego wieczoru powoli rozciągał się nad ziemią.

Kiedy stanął przed drzwiami zdawało mu się że przez oświetlone okna widzi dwie osoby wewnątrz domu. Zatrzymał się najpierw zdziwiony bardzo, później wszedł i spostrzegł siedzącego za stołem przed miską pełną ziemniaków Wiktora Lecoq, który jadł wieczerzę na miejscu, które dawniej syn jego zajmował. I nagle odwrócił się jak gdyby chciał sobie pójść. Celestyna spostrzegłszy go zerwała się i zawołała za nim:

Chodźcie ojcie, mamy doskonałą pieczeń na uczczenie dzisiejszego zebrania. Mimowoli zatem

posłuchał, usiadł za stołem spoglądając raz po raz to na mężczyznę, to na kobietę, to na dziecko. Następnie wziął się do jedzenia, jadł powoli, chciwie, jak zwykle.

Wiktor Lecoq zachowywał się tak, jak u siebie w domu, rozmawiał od czasu do czasu z Celestyną, brał dziecko na kolana. Celestyna zaś podsuwała mu pożywienie i dolewała jabłecznika widać było że czuła się bardzo zadowolona. Ojciec Amable śledził ich pilnym wzrokiem nie słyszał jednak co do siebie mówili. Kiedy skończył jeść, dotknięty że mu mało dano i nie najadł się do syta, — podniósł się i zamiast wyleźć na strych jak to czynił co wieczór, otworzył drzwi od podwórza i wyszedł.

Celestyna zaniepokojona zapytała: Co on wyprawia?

Nie martw się tem, wróci z pewnością jak się zmęczy.

Wtedy ona zajęła się porządkowaniem, myła talerze, ścierała stół. Wiktor zaś począł się rozbierać ze spokojem. Następnie wsunął się do ciemnej i głębokiej niszy, gdzie przedtem sypiała z Cezarem.

Drzwi od podwórza otwarły się znowu i ojciec Amable zjawił się w nich. Rozglądał się na wszystkie strony z miną psa który wietrzy. Szukał Wiktora Lecoq, a nie widząc go wziął ze stołu świecę i zbliżył się do ciemnej jamy, w której syn jego umarł. W głębi spostrzegł spiącego

Wiktora wyciągniętego pod nakryciem. Wtedy stary kaleka wrócił się spokojnie, postawił świecę z powrotem na stole i wyszedł jeszcze raz na podwórze.

Celestyna ukończyła sprzątanie, uśpiła swe dziecko, poustawiała wszystko na swoim miejscu i czekała tylko na powrót starego, żeby położyć się przy boku Wiktora. Oczekiwała siedząc na stołku, zwiesiwszy beczynn timerce i patrząc bezmyślnie w przestrzeń.

Gdy nie wracał, niespokojnie i ze złością szepnęła do siebie:

Ten stary próżniak gotów nas jeszcze podpalić.

Wiktor odezwał się z głębi swojego legowiska:

Będzie już godzina jak wyszedł, idź na dwór i zobacz czy nie zasnął na ławce przed drzwiami.

Celestyna wstała, wzięła światło i wyszła zasłaniając świecę ręką, by lepiej widzieć. Nikogo jednak nie zobaczyła przed drzwiami, — ławka zaś była pustą. Także przy stodółce, gdzie stary lubił siadywać czasami — nie zastała nikogo.

Gdy już miała wracać, podniosła przypadkiem oczy na wielką jabłoń stojącą u wrót podwórza i spostrzegła nagle dwie nogi ludzkie, które zwisały na wysokości jej twarzy.

Przestraszona okropnie krzyknęła: Wiktorze! Wiktorze! Wiktorze!

Na ten krzyk przybiegł Wiktor, — ona jednak nie mogąc mówić z przestachu, wskazała mu

tylko ręką na drzewo, równocześnie odwracając głowę w przeciwną stronę aby nic nie widzieć.

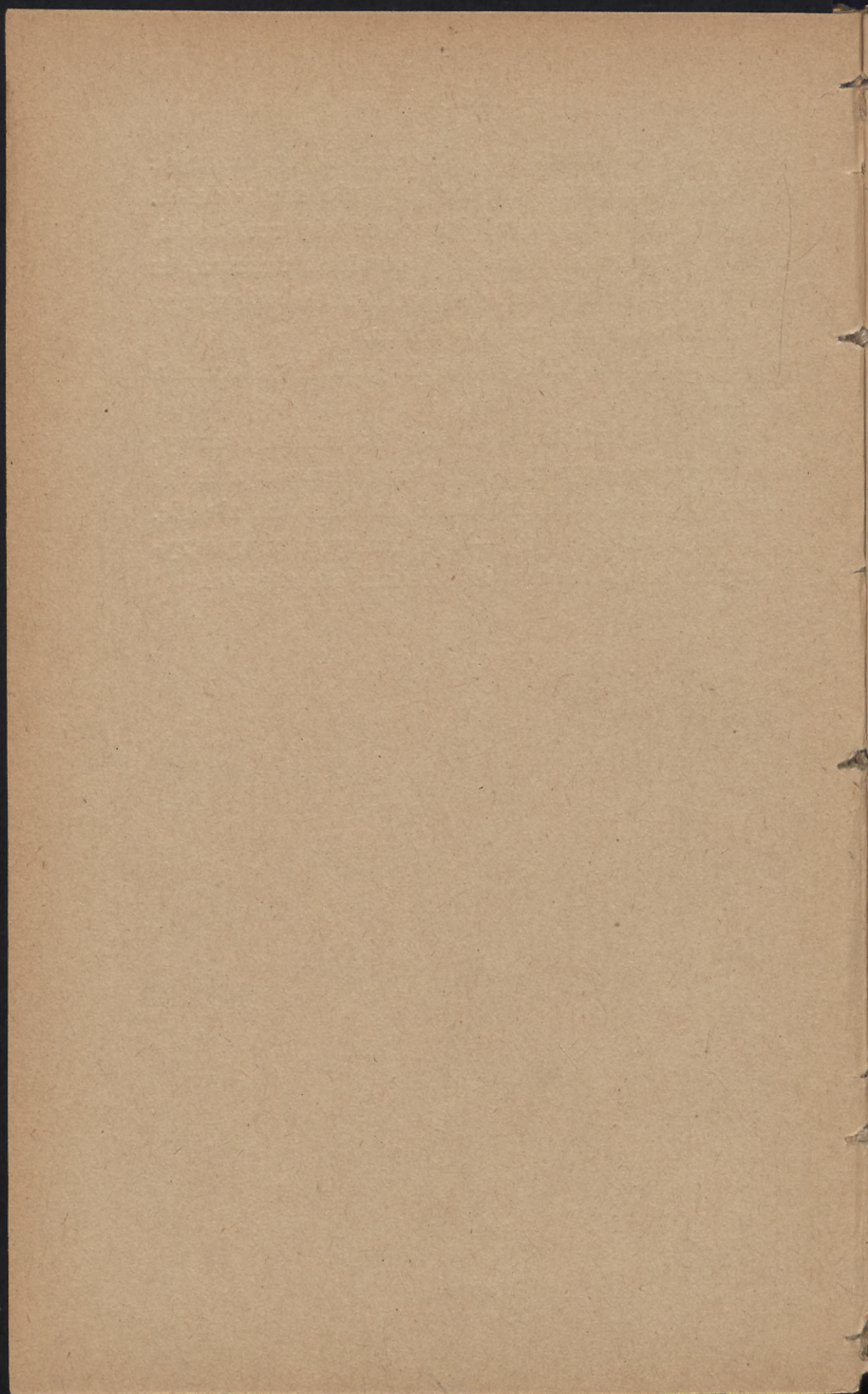
Wiktor nie rozumiejąc o co się rozchodzi, wziął z jej ręki światło i oświecił drzewo, tu z przerażeniem spostrzegł ojca Amable wiszącego wysoko na stajennym powrózku.

Drabinka oparta o pień jabłoni sterczała jeszcze.

W jednej minucie pobiegł do komory chwycił za sierp — wydrapał się na drzewo i przeciął sznur. Z głuchym łoskotem spadł trup na ziemię.

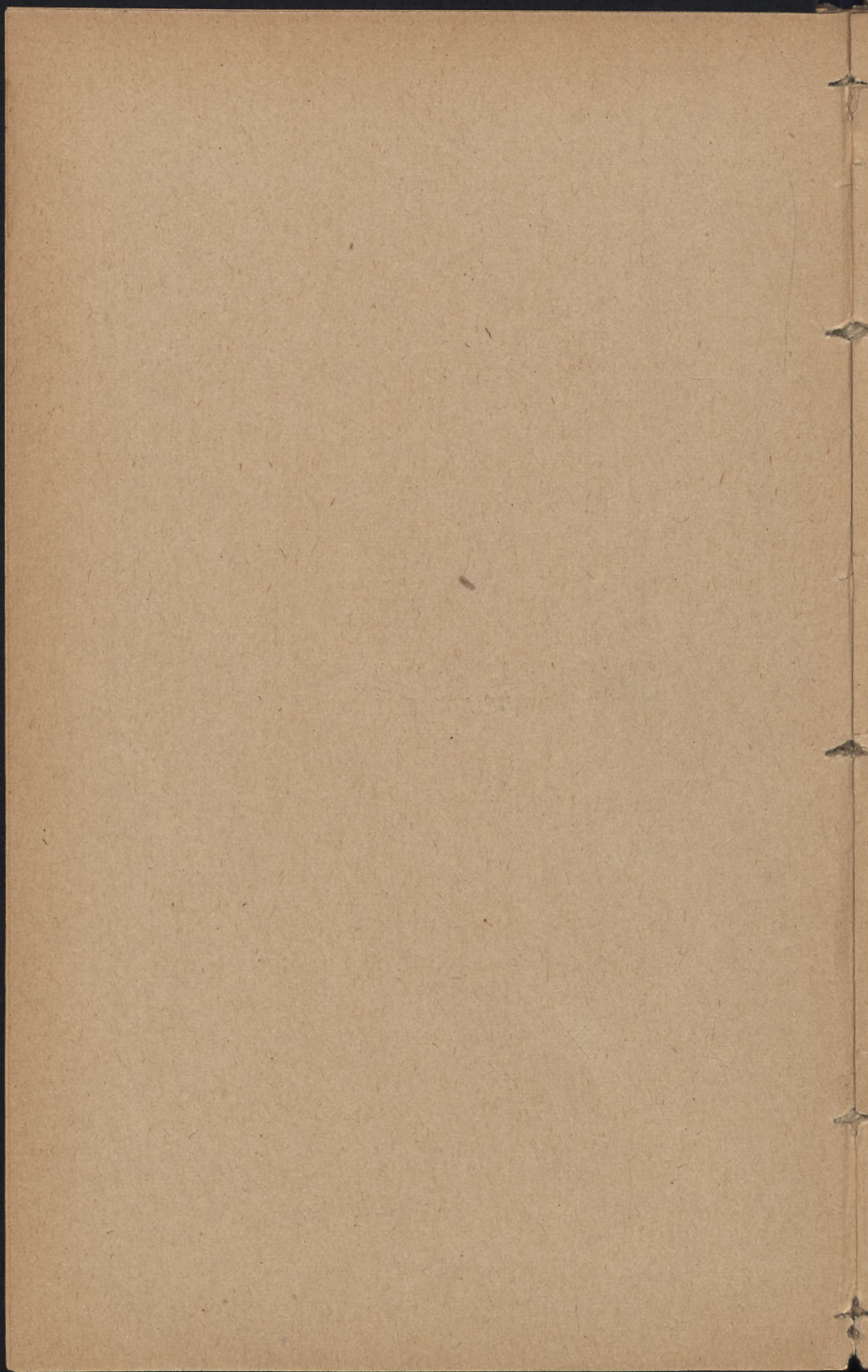
Stary już nie żył, — był zimny, a z wykrzywionych boleśnie jego ust, zwisał siny język.







**ROZSĄDNY.**



## ROZSĄDNY.

Blérot był moim przyjacielem od młodości, moim najlepszym kolegą; nie mieliśmy przed sobą żadnych sekretów. Łączyła nas głęboka przyjaźń serca i duszy braterska poufałość, zupełne zaufanie wzajemne. On wywnętrzał przedemną swe najdelikatniejsze myśli, nawet do tych małych wyrzutów sumienia, do których zaledwie sam człowiek wobec siebie przyznać się ośmiela. Ja, odwzajemniałem mu się tą samą szczerością. Ja byłem powiernikiem wszystkich jego miłości, on był znów moich.

Kiedy mi oznajmił że ma zamiar się żenić, uczułem się tem dotknięty jak zdradą. Czułem, że to był już koniec z tą naszą serdeczną i zupełną szczerością, która nas łączyła. Żona jego miała wejść między nas. Poufałość łoża małżeńskiego stwarza między dwoma istotami, chociaż już nawet kochać się przestały, pewnego rodzaju wspólność, pewnego rodzaju tajemniczą łączność. Są oni, ten mężczyzna i ta kobieta niejako tymi dwoma dyskretnymi współnikami, którzy nie dowierzają całemu światu... Ścisły jednak ten związek, który zawiązuje pocałunek małżeński, ustaje nagle z dniem, kiedy kobieta bierze kochanka.

Tak jak dziś stoi mi przed oczyma cała ceremonia ślubu Blérot'a. Nie miałem ochoty asystować tej uroczystości, mając wogóle wstręt do tego rodzaju wypadków, byłem tylko w merostwie i w kościele.

Żona jego, której przedtem nie znałem, była to wysoka, młoda blondynka, nieco szczupła, przystojna, o białych oczach i włosach... Chód miała lekko kołyszący, jak gdyby płynęła na łodzi.

Blérot wydawał się bardzo w niej zakochanym. Spoglądał na nią bez ustanku i czułem w nim gwałtowne pragnienie tej kobiety.

W kilka dni potem odwiedziłem go. Mówił mi: ani sobie nie wyobrażasz jak jestem szczęśliwy. Kocham ją szalenie, zresztą ona jest... ona jest... Nie dokończył zdania, lecz przyłożywszy dwa palce na ustach, zrobił ruch, który oznaczał: boską, wspaniałą, doskonałą i wiele jeszcze innych rzeczy.

Śmiejąc się, zapytałem: Czy już nic więcej?

On rzekł: wszystko co tylko możesz wymarzyć. — Przedstawił mnie jej. Była milutką, swobodną o ile wypadało, powiedziała mi, żebym ich dom uważał za swój. Czułem atoli że on, Blérot, już nie należał do mnie więcej. Zażyłość nasza, skończyła się. Z trudem zaledwie umieliśmy kilka słów ze sobą zamienić.

Odszedłem. Następnie podróżowałem po Wschodzie. Po upływie około 18 miesięcy, przez Rosyę, Niemcy, Szwecyę i Holandycę, powróciłem do Paryża.

Nazajutrz po przybyciu, gdy błądziłem po bulwarze, ażeby zaczerpnąć powietrza paryskiego, spostrzegłem idącego naprzeciw mnie mężczyznę bardzo bladego, o rysach pomarszczonych, który zdawał mi się podobnym tak do Blérota, jak jest podobnym wychudzony suchotnik do różowego tegiego chłopca. Patrząc na niego, zdziwiony i niespokojny pytałem sam siebie: czy to on? — On spostrzegł mnie i z radosnym okrzykiem podał mi swe dłonie. Ja mu podałem swoje i wyściskaliśmy się na środku bulwaru.

Po kilku nawrotach tam i z powrotem, kiedy mieliśmy się już rozejść, wydawał się bowiem znużonym już tą przechadzką, zapytałem go: Coś nie wyglądasz zdrowo, jesteś może chorym? On odpowiedział: tak, jestem nieco cierpiący.

Miał zaś on wygląd człowieka, który wkrótce ma skończyć, i cała fala czułości napłynęła mi do serca na widok tego starego i drogiego przyjaciela, jedyne, jakiego wogóle miałem. Ściskałem go za ręce.

— Powiedz, co ci jest? Czy masz jakie cierpienie?

— Nie, jestem nieco zmęczony. Ale to nic.

— Cóż mówi twój doktor?

— Mówi, że to anemija i przepisał mi żelazo i surowe mięso.

Pewne podejrzenie zrodziło się we mnie. Zapytałem go jeszcze:

— Jesteś szczęśliwy?

— Tak, bardzo szczęśliwy.

— Całkiem szczęśliwy?

— W zupełności.

— Twoja żona?

— Przemila! — Kocham ją więcej jak kiedykolwiek. — Spostrzegłem atoli, że się zarumienił, wydawał mi się zakłopotanym jak gdyby obawiał się dalszych pytań tej treści... Wziąłem go pod ramię, wciągnąłem go do pierwszej lepszej kawiarni, pustej jeszcze o tym czasie, siłą prawie posadziłem go i w twarz, w twarz zapytałem:

— Słuchaj no mój stary René! powiedz ty mi prawdę.

— On wyszeptał: Ależ nie mam ci nic do powiedzenia.

— Głosem stanowczym odrzekłem: to nieprawda. — Ty jesteś chorym, chorym na serce zapewne i nie śmiesz nikomu wyjawić tej tajemnicy. Widoczne, że jakieś zmartwienie trawi cię. Mnie jednak powiesz. — Mów, czekam.

Zarumienił się jeszcze bardziej i szeptał, odwracając głowę:

— Ależ głupstwo! To ja jestem... to ja jestem waryat...

Widząc że milczy, zacząłem: No, zobaczymy, mów.

Wtedy gwałtownie, jak gdyby wyrzucał z siebie myśl go trapiącą, nie wyznana jeszcze, zawołał:

— Ach, mam żonę, która mnie zabija, oto wszystko.

Nic nie rozumiałem. Jesteś przez nią nie-

szczęśliwy? Sprawia ci zmartwienia w dzień i w nocy. Ale jak? — Przez co?

Głosem słabym, jakby się spowiadał z jakiejś zbrodni, wyjąkał: Nie, to ja ją kocham zanadto.

Oszupiałem wobec tego brutalnego wyznania. Potem, wybuchłem śmiechem, wreszcie zapytałem: — Zdaje mi się, że przecież... że przecież... mógłbyś — kochać ją mniej.

Twarz jego przyoblekła się dawną bladością. Zdecydował się w końcu mówić ze mną otwarcie, tak jak dawniej.

— Nie, nie mogę. I z tego umieram. Sam wiem o tem. Sam siebie zabijam. Przeraża mnie to. Są dni, w które tak jak dzisiaj mam ochotę pójść sobie zupełnie, uciec na koniec świata, ażeby żyć, żyć długo. Później jednak, gdy wieczór nadchodzi, wracam do domu mimowoli, wstępuję zwolna na schody, dzwonię. — Ona już jest w domu, siedzi w fotelu i mówi mi: przychodzisz tak późno... Całuję ją na przywitanie. Potem siadamy do stołu. Podczas obiadu ja myślę wciąż: zaraz po obiedzie wyjdę i siądę na pociąg i pojedę sam nie wiem dokąd. Ale za powrotem do salonu czuję się tak zmęczonym, że nie mam odwagi ani się ruszyć. Zostaję. A potem, — a potem ulegnę zawsze.

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. On to spostrzegł i odezwał się: Ty się śmiejesz, ale zapewniam cię, że to jest straszne.

— Dlaczego, odrzekłem nie uprzędzisz twojej żony? Niechcąc być potworem, zrozumie cię.

Wzruszył ramionami: zdaje ci się. Jeśli nic jej nie mówię to tylko dlatego, że znam jej naturę. Nie jestto ani jej, ani moją winą. Jest taką, jaką ją stworzyła natura. Zapewniam cię mój drogi, że ma temperament Mesaliny. Ona tego nie wie, ale ja wiem i tem gorzej to dla mnie. Przy tem wszystkim jest ona miłą, słodką i czułą, w jej zrozumieniu wszystkie te szalone pieśzcoty, które mnie wycieńczają i zabijają, są naturalne i umiarkowane. Zachowuje się jak nieświadoma pensyonarka. Tak, ona jest jeszcze niewinne, biedne dziecko.

Prawie każdego dnia rodzą się we mnie energiczne postanowienia. Zrozum, że przecież umieram. Ale dość jednego spojrzenia jej oczów, jednego z tych spojrzeń pełnych pragnienia i natychmiast ulegam, okłamując sam siebie:

To będzie ostatni raz, nie chcę już więcej tych palących pocałunków. — Potem, gdy znowu ulegnę, tak jak dzisiaj, wychodzę i idę przed siebie, myśląc o śmierci, mówiąc sam sobie, że jestem zgubiony, że to już koniec ze mną.

Umysł mój jest już tak osłabiony i chory, że wczoraj udałem się na spacer na cmentarz peré Lachaise. Spoglądałem na te szeregi grobów z myślą: i ja tu już będę wkrótce. Wróciłem z postanowieniem powiedzenia jej że jestem chory, z postanowieniem uciec od niej. I nie byłem w stanie.

Och, ty nie znasz tego wszystkiego. Zarządaj od palacza tytoniu, który zatrzuwa się nikotyną, czy może wyrzec się tego rozkosznego zabijające-



go przyzwyczajenia. Odpowie ci, że sto razy już próbował, a bezskutecznie, z dodatkiem: tem gorzej, wolę jednak umrzeć z tego. Kiedy już jest się raz wziętym w więzy podobnej namiętności lub passyi, trzeba się jej już oddać całkowicie.

Podniósłszy się, żegnał się ze mną. Gwałtowny gniew ogarnął mnie, gniew nienawiści do tej kobiety, do tej bezdusznej istoty, milej a okrutnej. On zapinając palto, gotował się do wyjścia. Brutalnie rzuciłem mu w twarz: ależ do djabła daj jej raczej kochanków a nie pozwól zabijać siebie samego.

On wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Przez sześć następnych miesięcy nie widziałem go wcale. Codziennie oczekiwałem zawiadomienia o jego śmierci z zaproszeniem na jego pogrzeb. Nie miałem zaś ochoty udać się do niego, przejęty dziwnie skomplikowanym uczuciem pogardy względem owej kobiety, a gniewu i oburzenia na niego samego.

W jeden piękny poranek wiosenny przechadzałem się po polach Elizejskich. Był to dzień łagodny, który porusza w nas ciche pragnienia, z powodu których oczy nam błyszczą i wlewa się w nas dziwna chęć życia. — W tem ktoś trącił mnie w ramię. Obejrzawszy się spostrzegłem, że to on, wspaniały, doskonale wyglądający, różowy, otyły nawet.

Ucieszony z mego spotkania, podał mi obie ręce wołając: Mam cię wreszcie tchórze.

Spoglądałem na niego oniemiały z zadziwienia:

Ależ mój drogi... wieszuję ci, zmieniłeś się tak od tych sześciu miesięcy.

On zaczerwienił się i odrzekł z dwuznacznym uśmiechem:

Robi się co można mój drogi.

Patrzałem na niego z uporem, który go widocznie żenował. — A zatem jesteś wyleczony?

On szybko odpowiedział. Tak, tak, — zupełnie — dziękuję ci. — Potem zmieniając ton:

Jakże się cieszę, że cię spotkałem mój stary, będziemy się teraz znowu częściej widywali, nieprawdaż?

Ja jednak nie chciałem opuścić mego zamiaru dowiedzenia się czegoś więcej od niego. Zapytałem go wprost:

Przypominasz sobie zapewne zwierzenie, które zrobiłeś przedemną przed sześciu miesiącami. Dlaczegoż wstrzymujesz się teraz?

Jakając się, wyszeptał: Przypuśćmy żem ci nic nie powiedział i daj mi spokój. — Skoro cię jednak mam już cię nie puszczać. — Zapraszam cię do siebie na obiad.

Wprost szalona ochota ogarnęła mię nagle, ażeby zobaczyć jego obecne pożycie i módz zrozumieć. — Przyjąłem zaproszenie.

Żona jego przyjęła mnie nadzwyczaj mile. Miała zachowanie proste, podziwienia godne, naiwne, które wprost zachwycało. Jej długie ręce, twarz, jej szyja, odznaczały się doskonałemi liniami i białością.

Czuło się, że ciało jej jest delikatne, szlachetne, prawdziwie rasowe. I stąpała kołysząc się jak barka na morzu.

René pocałował ją po bratersku w czoło i zapytał: czy Lucyan jeszcze nie przyszedł?

Odrzekła głosem dźwięcznym i swobodnym: nie jeszcze mój przyjacielu. Wiesz sam że on się spóźnia codziennie.

Dzwonek zabrzmiał właśnie. Tęgi i wysoki chłopiec, silny brunet, o silnym żarście, postawie Herkulesa, zjawił się w progu jadalni.

Przedstawiono nas sobie wzajemnie. On nazywał się Lucyan Delabarre. René i on uścisnęli się mocno za ręce. Po chwili zasiedliśmy do stołu. Obiad był bardzo miły, — pełen wesołości. René nie przestawał zabawiać się rozmową, poufale, serdecznie, otwarcie, tak jak niegdyś. — Co chwilę zwracał się do mnie ze słowami: Pamiętaj mój stary — powiedz zatem mój drogi, słuchaj no mój przyjacielu. W końcu nagle wykrzyknął: Nawet nie spodziewasz się jak wielką mi to zrobiło przyjemność że cię znalazłem. Zdaje mi się że odżyłem.

Ja, obserwowałem żonę jego i tamtego. Zachowywali się zupełnie bez zarzutu. Mimo to zdawało mi się, że pochwyciłem raz, czy dwa razy jak zamieniali między sobą nagle i przelotne spojrzenia.

Gdyśmy skończyli obiad, René zwrócił się do swej żony i oświadczył jej: moja droga przyjacielko, odnalazłem Piotra i zabieram go z sobą,

pójdziemy pogawędzić po bulwarze tak jak niegdyś. — Ty nam przebaczysz ten wybryk... chłopcy — nieprawdaż? — Zostawiam ci zresztą pana Delabarre.

Młoda kobieta uśmiechając się i podając mi rękę, odrzekła: tylko nie zatrzymuj mi go pan zbyt długo.

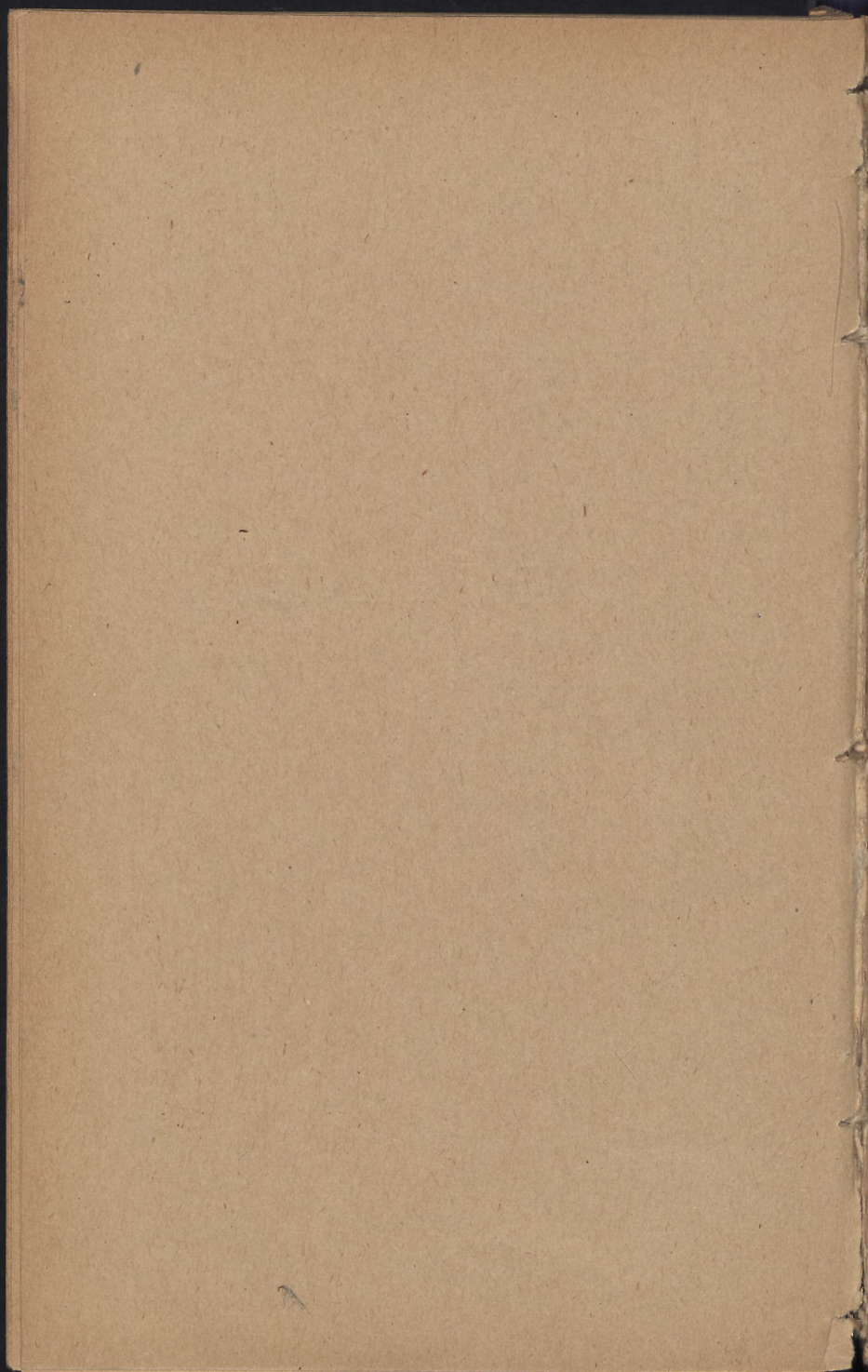
I oto po chwili trzymając się pod rękę znaleźliśmy się na ulicy. Za każdą cenę chcąc się przecież coś dowiedzieć, zapytałem go: No, zatem powiedz mi co takiego się stało? On atoli przerywając mi nagle dalsze pytanie i tonem niezadowolonia człowieka spokojnego, którego bez powodu się zaniepokoiło, odpowiedział: Ach, mój stary, dajże mi już raz spokój z temi pytaniami. Potem półgłosem, jakby mówiąc sam do siebie i z pewnem przekonaniem ludzi, którzy powzięli mądre postanowienie, dodał: Zanadto głupie to było, pozwolić się zabijać w ten sposób.

Nie nalegałem już więcej. Poczuliśmy gawędzić o różnych rzeczach. — Nagle, zaszeptał mi do ucha:

A gdybyśmy tak poszli na dziewczęta? He? Począłem się śmiać do rozpuku. Jak chcesz. Chodźmy mój stary.



**OCZEKIWANIE.**



## OCZEKIWANIE.

Rozmawialiśmy, paląc cygara po obiedzie. Rozmowa toczyła się o niespodziewanych spadkach, śmiesznych dziedzictwach.

Wówczas pan Brument, którego nazywano to świetnym mistrzem, — to świetnym adwokatem, przysiadł się u kominka.

Ja właśnie, rzekł, poszukuję jednego dziedzica, który zniknął wśród wyjątkowo strasznych okoliczności. Jest w tem jeden z tych zwykłych a przykrych dramatów życia codziennego, wypadek, który zdarza się prawie codziennie, a który mimo to jest jednym z najbardziej przerażających, jakie kiedykolwiek znałem.

Otóż, tak się rzecz miała.

Pewnego razu zostałem przed około sześciu miesiącami wezwany do jednej umierającej.

Pragnę panu, mówiła, dać jedno bardzo delikatne, trudne i długie zlecenie. Zechciej pan obznajomić się najpierw z postanowieniem mego testamentu, który leży tam na stole, przeznaczam w nim dla pana sumę pięciu tysięcy franków, jako honorarium — jeśli się panu nie uda ta sprawa, — zaś sumę stu tysięcy franków w razie

powodzenia. Trzeba, żeby pan wyszukał syna mojego po mej śmierci.

Poprosiła mnie, żebym jej pomógł usiąść na łóżku, iżby łatwiej było jej mówić, głos bowiem łamał się jej i świszczał w gardle.

Znajdowałem się w bardzo bogatym domu. Pokój był zbyt kownie urządzony tym prostym zbytkiem, ściany były obite grubą materią o łagodnym i miłym dla oka tonie, a słowa zdawały się wnikać w nie i ginąć bez odgłosu.

Umierająca zaczęła:

Jesteś pan pierwszym, któremu powierzam tę straszną historję, będę się starała zebrać siły by ją panu opowiedzieć do końca. Trzeba żeby pan wszystko znał dokładnie, pan, o którym wiem, że jesteś człowiekiem światowym, ale i uczuciowym zarazem i jestem przekonana, że zechcesz z całą szczerością pomódz mi wedle sił swoich w tej sprawie.

Posłuchaj mnie pan zatem.

Przed mojem małżeństwem, pokochałam jednego młodego człowieka, którego atoli odrzuciła moja rodzina, bo nie był dość bogaty. Wkrótce potem poślubiłam jednego bardzo bogatego mężczyznę, poślubiłam go przez nieświadomość — z obawy — przez posłuszeństwo, nawet przez niedbałość, ot, — jak wychodzą za mąż młode panny.

Miałam z nim dziecko, — syna. Mąż mój umarł po kilku latach. Ten zaś którego kochałam ożenił się także. Kiedy mnie zobaczył owdowiałą,



cierpiał okrutnie — tem bardziej, że nie był już sam wolnym. Odwiedzał mię i płakał i skarżył się przedemną, — a mną targał ból. Został moim przyjacielem. Byłoby zapewne lepiej, gdybym go była wcale nie widziała i nie przyjmowała u siebie.

Co pan chce? Byłam samotna, tak smutna, tak samotna, tak zrozpaczona!... I kochałam go jeszcze. — Jak się to czasem cierpieć musi!

Nie miałam nikogo na świecie tylko jego, moi rodzice bowiem już nie żyli. On odwiedzał mnie często, całe wieczory spędzał ze mną. Nie winnam mu była pozwalać przychodzić tak często, skoro był żonatym. — Nie miałam jednak siły przeszkodzić temu.

Cóż panu powiem?... Stał się moim kochankiem! — Jak się to stało? — Czy ja wiem sama? Czy to można wiedzieć?

Czy wierzy pan, że może być inaczej, gdy dwie ludzkie istoty pociąga do siebie ta siła nieodparta wzajemnej miłości? — Czy wierzy pan, że można ciągle walczyć, ciągle odmawiać tego, o co prosi, błaga ze łzami, słowy wzburzonymi, na kolanach, z namiętnem uniesieniem, człowiek, którego się ubóstwia, którego by się chciało widzieć szczęśliwym, którego by się chciało obsypać wszelkimi możliwymi radościami?... Czy można było się wyrzec tego ze względu na honor świata? Jakieżże siły by potrzeba, jakiegoż wyrzeczenia się i rezygnacyi szczęścia, jakiegoż egoizmu uczciwości, nie prawdaż?...

W końcu zostałam jego kochanką i byłam szczęśliwą. Przez dwanaście lat trwało to szczęście. Zostałam również i to jest moją największą słabością, mojem największem tchórzostwem, — przyjaciółką jego żony. Wychowywaliśmy razem mojego syna i zrobiliśmy z niego człowieka, inteligentnego, pełnego rozumu i silnej woli, o szerokim i szlachetnym umyśle. — Dziecię to skończyło lat siedmnaście.

Dziecię to, ten młody człowiek, kochał mojego... mojego kochanka prawie temsamem uczuciem jak i ja, oboje bowiem razem, jednako je kochaliśmy i pielęgnowaliśmy. Nazywał go „dobry przyjacielu“, — i poważał go niezmiernie, otrzymując od niego zawsze wskazówki pełne mądrości, przykłady prawości, honoru i uczciwości. Uważał go i szanował jak starego, szlachetnego i pełnego poświęcenia towarzysza swej matki, jak pewnego rodzaju swego ojca moralnego, opiekuna i protektora.

Zapewne nie byłby nigdy o nic więcej pytał, przyzwyczajony widzieć od dzieciństwa tego człowieka w domu, przy mnie, przy nim, zajmującego się nami bez ustanku.

Jednego wieczora mieliśmy się spotkać wszyscy troje razem przy obiedzie (były to dla mnie największe uroczystości) a ja, czekając na nich obydwóch, mimowoli zadawałam sobie pytanie, który z nich pierwszy nadejdzie. Drzwi otworzyły się i wszedł mój stary przyjaciel. Wybiegłam naprzeciw niego z wyciągniętymi obiema rękoma,

on zaś złożył na moich ustach długi pocałunek szczęścia.

Nagle, lekki hałas jakby szelest, jakby nic zresztą, jakby dziwne uczucie obecności kogoś więcej prócz nas dwojga w pokoju, wstrząsnął nami i spowodował że mimowoli oglądaliśmy się za siebie.

Mój syn, Jan, stał poblady, zdumiony i patrzył na nas.

Była to straszna chwila naszego szaleństwa. Ja, cofnąłam się, wyciągając ręce w stronę mojego syna jakby błagalnie, lecz już go nie było — wyszedł...

Oboje staliśmy naprzeciw siebie, przerażeni, niezdolni przemówić ani słowa. Ja, rzuciłam się na fotel i miałam pragnienie, silne a niezrozumiałe pragnienie uciec gdzieś, zniknąć na zawsze. Później konwulsyjne łkanie szarpało mą piersią i płakałam wstrząsana spazmami, z duszą rozdartą, z nerwami rozstrojonymi tym przerażającym wstydem, który spada na serce matki w chwilach podobnych.

Och, mój przyjaciel, stał przedemną równie przestraszony, nie śmiać ani zbliżyć się do mnie, ani przemówić, ani mnie dotknąć w obawie, że dziecko powróci. — Wreszcie przemówił:

Pójdę, poszukam go... powiem mu... żeby zrozumiał... trzeba wreszcie, żebym go zobaczył... żeby się dowiedział...

I wyszedł.

Czekałam... Czekałam... oszalała, drżąc na

najmniejszy szelest, targana obawą i dziwną trwożą na najmniejszy trzask ognia palącego się na kominku.

Czekałam jedną godzinę, dwie godziny, czując rosnącą w sercu mojem nieznaną trwożę, takie przerażenie jakiegobym nie życzyła nikomu z najbardziej zbrodniczych ludzi. — Gdzie było moje dziecko? Co ono robiło?!

Około północy posłaniec przyniósł mi list od mojego kochanka. — Umiem go jeszcze na pamięć.

Czy syn pani powrócił? — Ja go nie odszukałem. Czekam na dole, nie chcę wchodzić o tak późnej godzinie.

Napisałam na tym samym kawałku papieru ołówkiem,

Jan nie powrócił. — Trzeba, żebyś go znalazł.

Całą noc spędziłam na fotelu w oczekiwaniu. Dochodziłam już do szaleństwa, porywała mnie chęć krzyczeć, to znowu gdzieś biedz, lub tarzac się po ziemi. Nie poruszyłam się atoli nawet, czekałam i czekałam. — Co się stanie? — Chciałam odgadnąć, chciałam się dowiedzieć... Nie byłam w stanie jednak nic przewidzieć, mimo szalonych wysiłków mej myśli i głębokiej męczarni duszy.

Obawiałam się teraz, ażeby się oni nie spotkali. Coby uczynili? Jakby postąpił mój syn. Straszne wątpliwości szarpały mną, dziwne przypuszczenia roily się w mej duszy.

Pokojówka moja, która nie wiedziała o niczem, przychodziła co chwilę i spoglądała na mnie, myśląc może, żem oszalała. Odesłałam ją, nie mówiąc do niej ani słowa. Ona pobiegła po lekarza, który przyszedłszy zastał mię wśród silnego ataku nerwów. Złożono mię do łóżka. Wywiązało się u mnie zapalenie mózgu. Gdy po długiej chorobie odzyskałam przytomność, spostrzegłam przy moim łóżku mojego kochanka, samego... Poczęłam krzyczeć: Mój syn! — Gdzie jest mój syn?...

On nic nie odpowiadał. Ja pytałam dalej: Nie żyje? — Nie żyje? Czy życie sobie odebrał?

On mi odpowiedział:

Nie, nie, przysięgam ci. — Mimo wszelkich starań nie mogłem go odnaleść.

Ja, zrozpaczona, oburzona tym niewytłomaczonym a nierozsądnym gniewem, zawołałam:

Zabraniam ci powrócić, szukać sposobności zobaczenia ze mną, dopóki go nie odnajdziesz. Odejdź.

On wyszedł.

Od tego czasu nie zobaczyłam już więcej ani jednego, ani drugiego i żyję w ten sposób już lat dwadzieścia.

Wyobraź pan sobie i zrozum tę straszną karę, to ciągle a powolne rozdzieranie mojego serca matki, mojego serca kobiety, zrozum pan to okropne oczekiwanie bez końca... bez końca!...

Nie, skończy się. Bo umieram... Umieram bez zobaczenia jednego i drugiego. On, mój przy-

jaciel, pisywał do mnie codziennie przez te lat dwadzieścia, ja jednak ani na sekundę widzieć go nie chciałam, bo zdaje mi się, że gdyby powrócił, równocześnie z nim spostrzegłabym, zjawiającego się mojego syna. Mój syn! Mój syn! — Czy on żyje? Czy też już nie żyje... Gdzie się on podziewa. Może tam za wielkimi morzami w jakim tak dalekim kraju, którego mi nawet nazwa jest nieznana.

Czy myśli on jeszcze kiedy o mnie? Och, gdyby on wiedział! Och, jak są dzieci okrutne! Czy on rozumie na jakie straszne cierpienie mnie skazał, na jakie tortury mnie wystawił, wówczas jeszcze młodą i życia pełną, aż do ostatnich dni moich, mnie, swoją matkę, która go tak kochałam, całą potęgą mego macierzyńskiego uczucia. Przecież to jest straszne.

Powiedz mu pan to wszystko. Powtórzysz mu pan moje te ostatnie słowa:

„Moje dziecko, moje drogie dziecko! bądź mniej surowym dla biednych istot. Życie samo jest już dość okrutnem i surowem. Moje drogie dziecko, pomyśl, jakie było życie twojej matki, twojej biednej matki od chwili kiedyś ty ją opuścił. Moje drogie dziecko, przebacz jej, kochaj ją teraz skoro już nie żyje, albowiem odcierpiała jedną z najbardziej strasznych kar“.

Dyszała drżąca, jak gdyby mówiła do swojego syna stojącego przed nią. Poczem dodała:

Powiesz mu pan jeszcze, że nie widziałam tamtego...

Zamilkła na chwilę, wreszcie złamanym głosem rzekła:

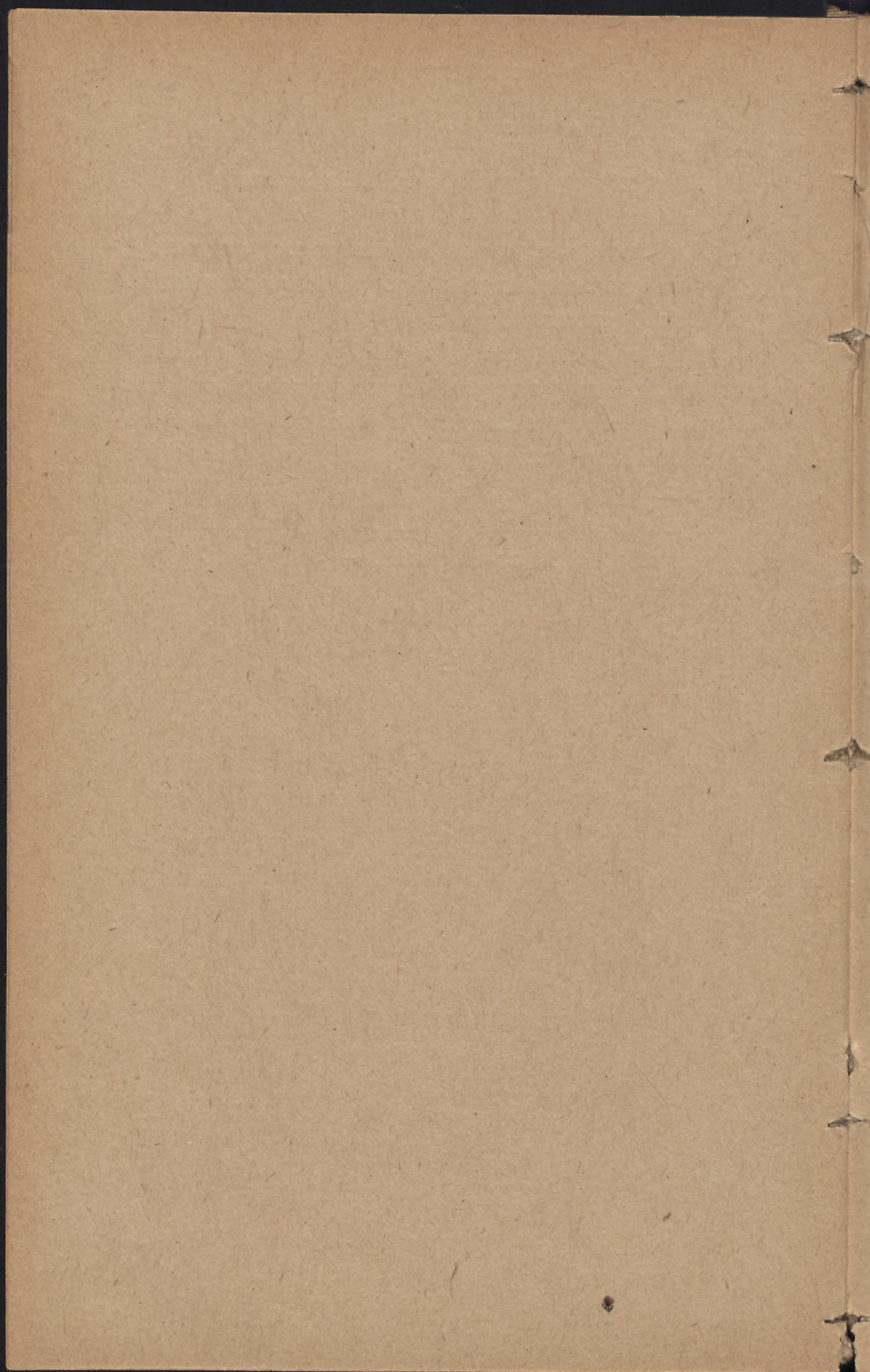
A teraz proszę pana zostaw mnie pan samą, chcę umierać samotną skoro ich niema koło mnie.

Pan Brument dodał:

I wyszedłem moi panowie, płacząc jak dziecko, tak, że mój stangret ze zdziwieniem, oglądał się na mnie. A proszę panów wszak to codziennie naokoło nas zdarza się moc podobnych dramatów jak ten.

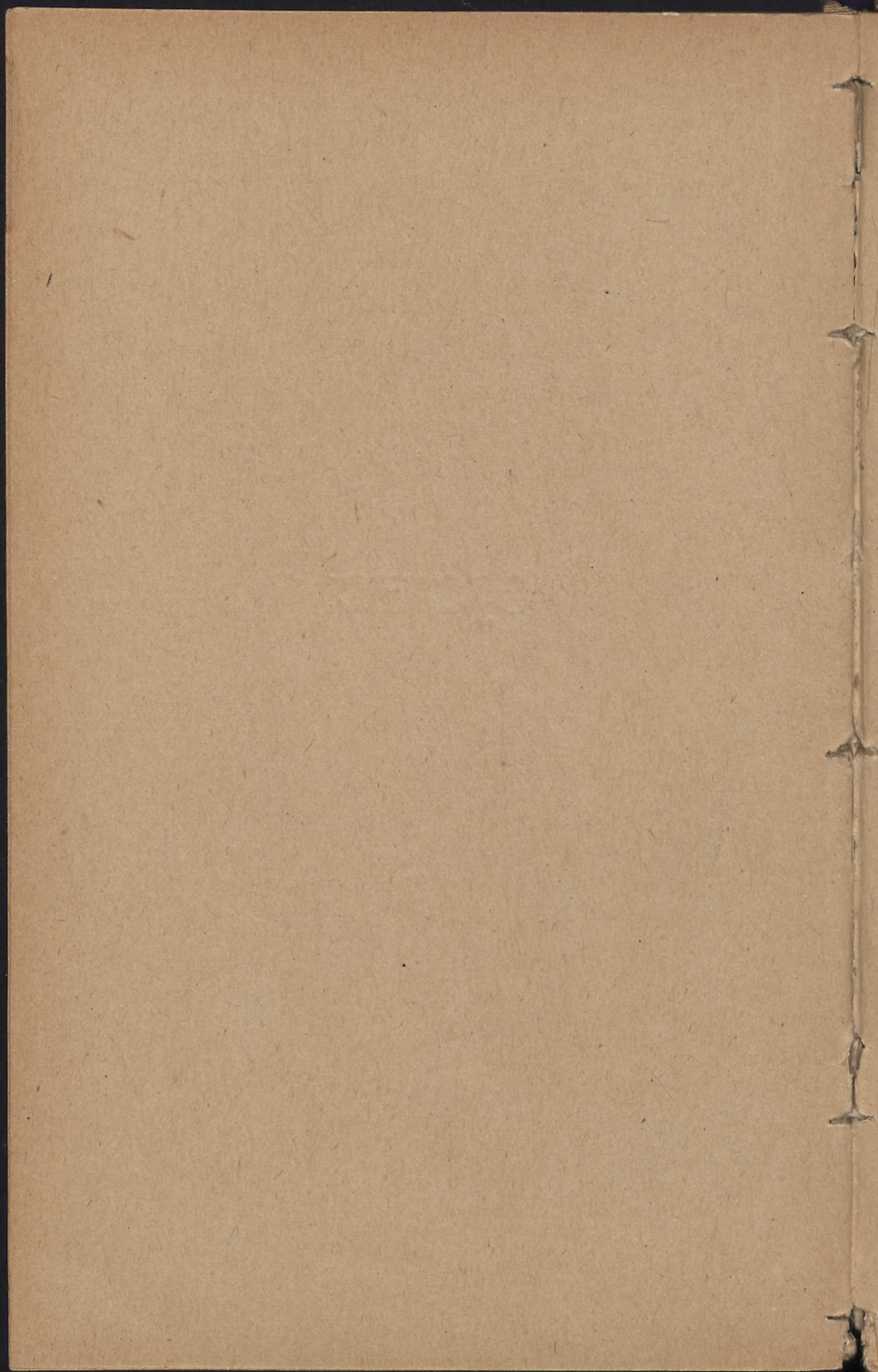
I nie odnalazłem syna... tego syna, którego ja, mówcie sobie co chcecie, — potępiam.







**OJCIEC.**



## OJCIEC.

Przyjaciela mego Jana de Valuoir odwiedzam od czasu, do czasu. Posiada on nad brzegiem jednej rzeki małą rezydencyę, wśród lasów. Po piętnastu latach szalonego życia w Paryżu wycofał się przesycony, w to uroczne zacisze. Nagle miał dość już tych wszystkich rozkoszy, tych uczt, tych ludzi, tych kobiet, — kart, — wszystkiego i schronił się do swej posiadłości, w której się urodził.

Było nas dwóch, lub trzech, którzy od czasu do czasu spędzaliśmy u niego, dwa lub trzy tygodnie co roku. On, niewątpliwie cieszył się naszym przybyciem, radował się również niewątpliwie pozostawszy sam, gdyśmy go opuścili.

Gdy przybyłem do niego ostatniego tygodnia przyjął mię z otwartemi rękoma. Dnie spędzaliśmy to razem, to samotnie. Zresztą on spędzał dzień na czytaniu, ja na pracy, wieczorami tylko gawędziliśmy do północy.

I tak, w ostatni wtorek, siedzieliśmy we dwójkę koło godziny dziewiątej wieczór nad rzeką, patrząc na płynące u stóp naszych fale, dzielące się z swemi spostrzeżeniami, zresztą bardzo słabymi, nad bytem i ruchem gwiazd, kąpiących się

w zwierciadle wody. Rozprawialiśmy o istotach zamieszkujących te światy, o ich kształtach przypuszczalnych, o ich nieodgadnionych zdolnościach, o zwierzętach, roślinach, o tych wszystkich właściwościach, tworach i postaciach, które jedynie fantazyja nasza w pewnych chwilach wywołać jest wstanie.

W tem nagle z daleka posłyszeliśmy wołanie:

— Proszę pana, proszę pana!

— Tu jestem, Baptysto, odpowiedział mój przyjaciel.

Służący przyszedł ku nam i oznajmił:

— Ta cyganka, znajoma pana przybyła.

Przyjaciel mój począł się śmiać, śmiał się szalonym śmiechem, potem zapytał:

— Mamy dziś 19 lipca?

— Tak, panie.

— Bardzo dobrze. Powiedz jej, by zaczekała, daj jej kolacyę, ja za dziesięć minut nadejdę.

Gdy służący oddalił się, przyjaciel wziął mnie pod rękę.

— Pójdziemy powoli, po drodze opowiem ci tę historję.

Prawie przed siedmiu laty, w roku, w którym tu powróciłem, wyszedłem jednego wieczoru przejść się po lesie. Była piękna pogoda podobnie jak dzisiaj, idąc wolnym krokiem pod wielkimi drzewami spoglądałem na gwiazdy po przez liście, pijąc pełną piersią świeże powietrze lasu i nocy.

Właśnie opuściłem był Paryż na zawsze. Byłem strasznie zmęczony, rozżalony więcej, aniżeli jestem to wstanie powiedzieć, wszystkiemi temi głupstwami, mołostkami, tymi brudami, które widziałem i w których brałem sam udział przez te lat piętnaście.

Szedłem daleko, — daleko przed siebie w głęboki las, krętą ścieżką, która prowadzi do wsi Crouville, o pięć kilometrów ztąd.

Nagle mój pies Bock, wielki saint germain, który mię nie odstępował począł warczeć. Sądziłem, że jest na tropie lisa, wilka, lub dzika i szedłem lekko za nim, na palcach, by nie robić hałasu; w tem nagle posłyszałem, krzyk, — krzyk ludzki, jęczący, przytłumiony, rozdzierający.

Niewątpliwie mordowano kogoś w krzakach, pobiegłem ściskając w ręce grubą, dębową laskę, prawdziwą maczugę.

Zbliżyłem się do miejsca jęków, które teraz dochodziły mię bardziej wyraźnie, ale dziwnie przytłumione. Zdawało się, że wychodzą z jakiegoś domu, lub może budy węglarza. Bock, biegnąc na trzy kroki przedemną, zatrzymał się, nawrócił podniecony i warczał nieustannie. Nagle inny pies, wielki czarny pies, o świecących ślepiach zastąpił nam drogę. Widziałem bardzo dobrze ostre kły, które zdawały się błyszczeć w jego paszczy.

Pobiegłem ku niemu z podniesioną laską, tymczasem jednak Bock skoczył na niego i wkrótce oba chwyciwszy się zębami za karki, tarzali

się po ziemi. Minąłem ich i o mało nie potknąłem się o konia leżącego na drodze. Zdziwiony zatrzymałem się i spostrzegłem przed sobą brykę, raczej domek na kołach, jeden z tych wózków linoskoków i kramarzy, którzy jeżdżą z jarmarku na jarmark.

Ztamtąd to wychodziły owe krzyki, straszne, bezustanne. Że jednak wejście było z drugiej strony, obszedłem brykę, wyszedłem szybko po trzech drewnianych stopniach, gotowy wpaść na złoczyńcę.

To jednak co spostrzegłem, wydało mi się tak dziwnem, że z początku pojąć nie mogłem. Jakiś mężczyzna klęczał przed łóżkiem, stojącem w tem pudle, jakby się modlił, podczas gdy na łóżku leżała jakaś postać, trudna do rozpoznania, w połowie naga, okręcona, która rzucała się i krzyczała.

Zrozumiałem wreszcie, że to była rodząca kobieta.

Mężczyzna, jakiś szalony marsylczyk, spostrzegłszy mnie, począł mnie błagać by ją ratować, obiecując mi wśród potoków niezliczonych obietnic, nieprawdopodobną wdzięczność. Nigdy nie widziałem przedtem porodu, nie pomagałem nigdy przy takim wypadku żadnemu stworzeniu, ani suce, ani kotce, i oświadczyłem mu to odrazu, spoglądając z przerażeniem na ową krzyczącą na łóżku istotę.

Odzyskawszy po chwili zimną krew, zapytałem przygnębionego człowieka, dlaczego nie je-

dzie do najbliższej wioski, koń jego wpadłszy w wybój złamał nogę i nie mógł wstać.

A no mój chłopcze, zawołałem, jest nas dwóch teraz, zaciągniemy sami twoją żonę do mnie.

Atoli ujadanie psów zmusiło nas do wyjścia, ryzykując, że je pozabijamy, kijami rozdzieliliśmy ich wreszcie. Następnie przyszło mi na myśl, żeby ich także zaprządź, jednego z prawej, drugiego z lewej strony przy naszych nogach. W dieście minut potem wszystko było gotowe i wóz ruszył powoli w drogę, wstrząsając na głębokich wybojach biedną kobietę.

Mój drogi, co to była za podróż. Szliśmy zadyszani, spoceni, ślizgając się, padając czasem, psy również dyszały przy nogach naszych jak miechy.

W trzy godziny zaledwie dobiliśmy w ten sposób do zamku. Gdyśmy prawie przybyli przed wrota, krzyki we wozie ustały. Matka i dziecko miały się dobrze.

Ułożyliśmy ich w wygodnem łóżku, kazałem zaprządź i sprowadzić lekarza, Marsylińczyk zaś pocieszony, pełen otuchy, tryumfujący, zajadał i zapijał się na śmierć, aby uczcić te szczęśliwe urodziny.

Urodziła się córka.

Zatrzymałem przez ośm dni tych ludzi u siebie. Matka, panna Elwira była jasnowidzącą somnambulistką, wywróżyła też mi życie bez końca i szczęśliwości różnych bez liku.

W rok potem, co do dnia, pod wieczór ten

sam służący, który mię właśnie wołał, oznajmił mi w mym gabinecie do palenia, gdzie spoczywałem po obiedzie: „Ta cyganka, z roku poprzedniego, przybyła podziękować panu.

Kazałem ją wprowadzić i zdziwiony spostrzegłem z nią, wysmukłego, wielkiego blondyna, mieszkańca północy, który pozdrowiwszy mię przemówił imieniem tej nowej wspólności. Dowiedziawszy się o mojej względem panny Elwiry dobroci, nie mógł ominąć tej rocznicy bez oświadczenia mi ich wspólnych podziękowań, w dowód wdzięczności.

Ofiarowałem im swoją gościnność, zapraszając ich na kolację i na noc. Nazajutrz odjechali.

Otóż, ta biedna kobieta, powraca co roku, w tę samą datę ze swoim dzieckiem, śliczną dziewczynką i — za każdym razem z innym mężczyzną. Jeden tylko, jakiś owergijczyk, zjawiał się przez dwa lata dwukrotnie. Mała dziewczynka nazywa ich po kolei ojcem.

Przybywszy do zamku, spostrzeżliśmy, stojące przed gankiem trzy cienie, nas oczekujące.

Cień najwyższy zbliżył się z zamaszystym ukłonem:

— Panie hrabio, przybyliśmy dzisiaj, oświadczyć panu naszą wdzięczność, — pan wie za co...

Był to znowu jakiś belgijczyk!

Po nim wyrecytowała mała, przygotowana już widocznie z góry, komplementa.

Ja, udając niewinnego, odciągnąłem na bok pannę Elwirę i po kilku słowach zapytałem ją:



— Czy ojciec dziecka pani?

— Ach! nie panie.

— Ojciec, zatem umarł?

— O! nie proszę pana. Widujemy się z nim czasem jeszcze. On jest teraz żandarmem.

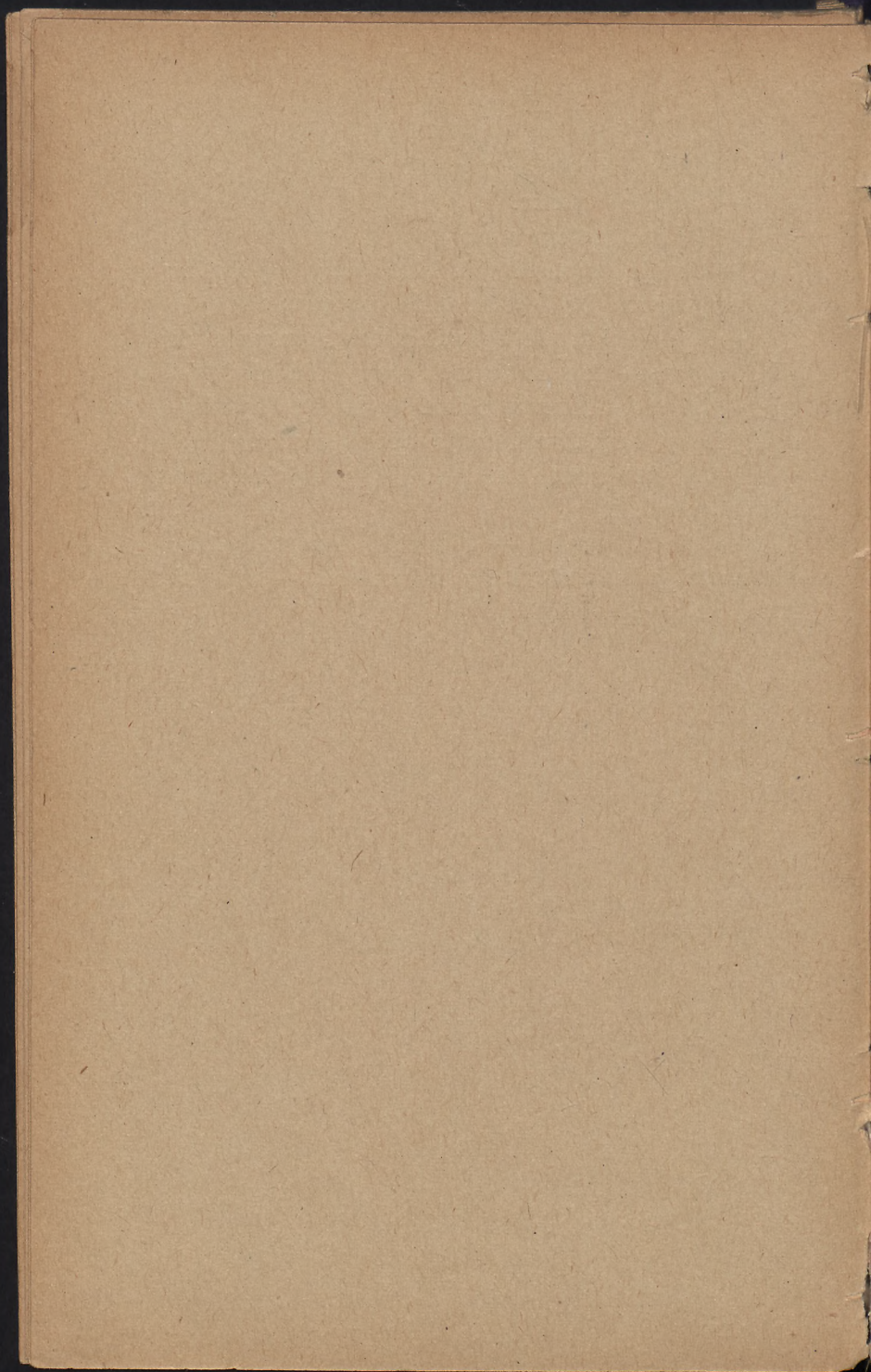
— A — tak! to nie był zatem ten marsylijezyk pierwszym, — ten co to był przy porodzie?

— O! nie — proszę pana! Tamten to był łajdak, który skradł mi moje oszczędności.

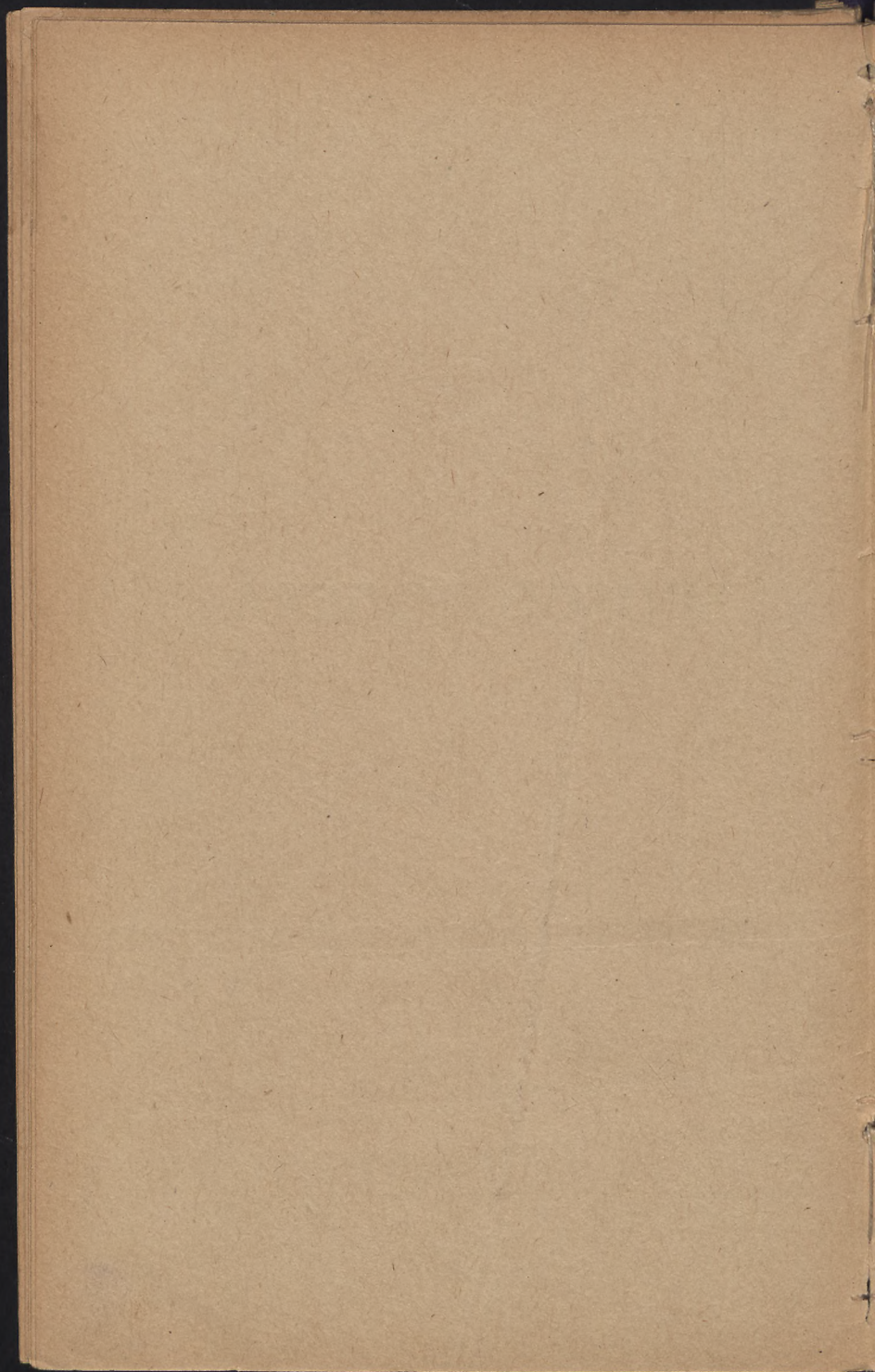
— A, żandarm, ten prawdziwy ojciec, zna swoje dziecko?

— O! tak panie, — kocha je nawet bardzo; nie może jednak niem się zajmować, — ma już inne, ze swoją żoną.





**SPOSÓB ROGERA.**



## SPOSÓB ROGERA.

Przechadzałem się jednego dnia po bulwarze z Rogerem. Koło nas pszeszedł jakiś przekupień, który wykrzykiwał:

Kupujcie sposób na pozbycie się teściowej! — Kupujcie!...

Zatrzymałem się i zapytałem wprost mojego towarzysza:

Wywoływanie to przypomina mi pytanie, które oddawna miałem ci postawić. — Cóż to jest za ten „sposób Rogera“ o którym zawsze wspomina twoja żona? Wspomina o nim w sposób zawsze tak dziwny i dwuznaczny, jak gdyby się rozchodziło o dawkę kantaridy, wiadomą tylko tobie. Ile razy mówi się przy niej o młodym człowieku, zmęczonym, wyczerpanym, zniszonym, — zwraca się ku tobie i mówi uśmiechając się:

Trzebaby mu zastosować sposób Rogera. Musi być coś drażliwego w tej historyi, skoro ty rumienisz się wtedy za każdym razem.

Roger odpowiedział:

Bo i jest czego i gdyby moja żona wiedziała co mówi, zapewniam cię, nie mówiłaby tego. Chętnie powierzę ci tę historyę. Jak wiesz ożeniłem się z wdową, w której byłem mocno zakochany. Moja żona była zawsze swobodną w rozmowie

i zanim stała się moją legalną towarzyszką życia, prowadziliśmy nieraz te swobodne rozmowy, zresztą dozwolone z wdówkami, które zachowały chęć do pikantnych pogawędek. Lubiła bardzo wesole historyjki i tłuste anegdotki. W pewnych wypadkach grzechy popełnione językiem nie są znowu tak ciężkie. Ona jest odważną, a ja jestem trochę bojaźliwy i często przed naszym ślubem bawiło ją to, że wprowadzała mię w kłopot swojemi żartami i pytaniami, na które trudno mi było odpowiedzieć. Zresztą, zapewne ta jej zuchwałość wzbudziła moje uczucie. Co do mego zakochania bowiem, byłem w niej zakochany od stóp do głowy, duszą i ciałem, a ona szelmeczka wiedziała o tem.

Postanowiliśmy, że zaślubiny nasze odbędą się cicho, bez żadnej ceremonii i podróży poślubnej. Po błogosławieństwie w kościele, przyjmujemy świadków naszego ślubu kolacją a potem zrobimy sobie „eu tête à tête“ przejażdżkę powozem i powrócimy na wieczór do mnie.

Tak się też stało. Skoro tylko nasi świadkowie oddalili się, my oto już w powozie. Kazałem woźnicy pojechać do lasu bulońskiego. Był to koniec czerwca; pogoda była wspaniała.

Skoro tylko znaleźliśmy się sami, żona moja poczęła się śmiać, mówiąc:

No, mój drogi Rogerze, teraz nadeszła chwila, ażebyś starał się być kochankiem. Zobaczymy, jak się ty weźmiesz do tego.

Zainterpelowany w ten sposób uczulem się jak sparaliżowany. Całowałem ją po rękach, po-

wtarzając ustawicznie: Ach, ja cię tak kocham! Odważyłem się dwa razy pocałować ją w szyję, ale przechodnie mnie żenowali. Ona z miną prowokującą i ironiczną, podniecała mnie: a co potem?... a co potem? — To „co potem“ denerwowało mnie i wyprowadzało z równowagi. Przecież nie można było w powozie, w lasku bułońskim, wśród jasnego dnia.... Ty rozumiesz.

Ona widziała dobrze moje zażenowanie i bawiła się niem doskonale. Od czasu do czasu drażniła mnie:

Obawiam się, że źle trafiłam, widzę, że mam podstawę do pewnych obaw....

Ja co prawda sam poczyniałem się obawiać o siebie. Kiedy mnie ktoś onieśmieli staję się do niczego niezdolnym.

Podczas kolacyi w domu była rozkoszną. Ażeby być pewniejszym siebie odesłałem służącego który mnie bądź co bądź krępował. — Och! zachowywaliśmy się przyzwoicie, ale ty wiesz jak zakochani są śmieszni, piliśmy z jednej szklanki, jedliśmy z jednego talerza i jednym widelcem. Bawiło nas zjadanie ciastek równocześnie z obydwóch stron, tak że usta nasze spotykały się w środku.

Ona zapragnęła napić się szampana.

Zapomniałem zupełnie o tej butelce stojącej na kredensie. Wziąłem ją, przeciąłem sznurki i naciskałem korek, żeby wystrzelił. — Nie wystrzelił. Gabryela poczęła się śmiać:

O! Zła wróżba!

Przygniatałem palcami wzdętą głowę korka, przechylałem go na lewo, na prawo, wtem, nagle urwałem korek przy samej szyjce.

Gabryela westchnęła: O mój biedny Rogerzel! Wziąłem korkociąg, ale i nim nie udało mi się mimo wysiłku, korka wyciągnąć. — Musiałem przywołać Filipa. — Moja żona śmiała się teraz do rozpuku:

Doskonale... doskonale... widzę teraz, jak mogę liczyć na ciebie.

Była już na pół pijaną.

Po czarnej kawie, jeszcze o jeden stopień bardziej była podchmieloną.

Udanie się do wspólnego łóżka nie wymaga dla wdowy tych wszystkich ceremonij, które są potrzebne przy młodej dziewczynie.

Gabryela przeszła spokojnie do swojego pokoju:

— Proszę cię rzekła, zostań tu na kwadransik i wypal swoje cygaro.

Przyznaje, że gdy wreszcie znaleźliśmy się razem, brak mi było zaufania do samego siebie. Czułem się zdenerwowanym, wzburzonym, bez pożądania.

Ona nie odzywała się wcale, spoglądała na mnie z uśmiechem na ustach, z widoczną chęcią żartowania sobie ze mnie. Ironia ta w podobnej chwili doprowadziła mnie do zupełnego pomieszenia, uczułem się kompletnie bez sił.



Gabryela spostrzegłszy moje zakłopotanie nic nie uczyniła ażeby mi dodać otuchy... przeciwnie. — Z miną nieco obojętną zapytała mnie:

— Czy codziennie jesteś tak dowcipnym?

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć:

— Słuchaj, jesteś nieznośną.

Wtedy ona zaczęła się śmiać, śmiechem nieumiarkowanym, zdenerwowanym, ironicznym.

Coprawda, miałem głupią minę i sam nie wiedziałem co robić.

Od czasu do czasu, między jednym wybuchem śmiechu a drugim, mówiła do mnie dusząc się ze śmiechu:

— No, dalej... odwagi... tylko trochę energii... mój drogi przyjacielu.

Potem zaczęła się śmiać tak szalenie, że prawie spazmatycznie.

Ja w końcu byłem tak zdenerwowany, tak wściekły na nią i na siebie, że czułem, iż gotów jestem ją uderzyć, jeśli natychmiast nie wyjdę.

Wyskoczyłem wściekły z łóżka i nic nie mówiąc ubierać się począłem.

Ona uspokoiła się nagle i zrozumiawszy, że jestem zagniewany, zapytała.

Cóż ty robisz? Gdzież ty się wybierasz?

Nic nie odpowiedziałem. Wyszedłem na ulicę. Miałem ochotę zabić kogoś, zemścić się, popełnić jakie szaleństwo. Szedłem wielkimi krokami przed siebie, gdy nagle myśl pójścia do domu publicznego, wpadła mi do głowy.

Kto wie? Mogło to być próbą, doświadczeniem, mogło wywołać popęd i pożądanie. W każdym razie byłoby to zemstą! Jeśli kiedykolwiek ja miałbym być zdradzonym przez żonę, ona byłaby w ten sposób najpierw zdradzoną przeze mnie.

Nie wahałem się więcej. Wiedziałem o jednym takim domu niedaleko mego mieszkania, pobiegłem tam i wszedłem jak robią to ludzie, którzy rzucają się do wody, ażeby się przekonać, czy umieją pływać jeszcze.

Pływałem.... i to doskonale. Zostałem tam długo, napawając się tą sekretną i wyrafinowaną zemstą. Znalazłem się na ulicy o tej orzeźwiającej godzinie, kiedy noc znika. Czułem się teraz spokojny, pewny siebie, zadowolony i gotów jeszcze do dalszych pieszczot.

Wróciłem do siebie powoli i otworzyłem lekko drzwi od pokoju.

Gabryela czytała, wsparta na poduszkach. Podniosła głowę i bojaźliwie zapytała:

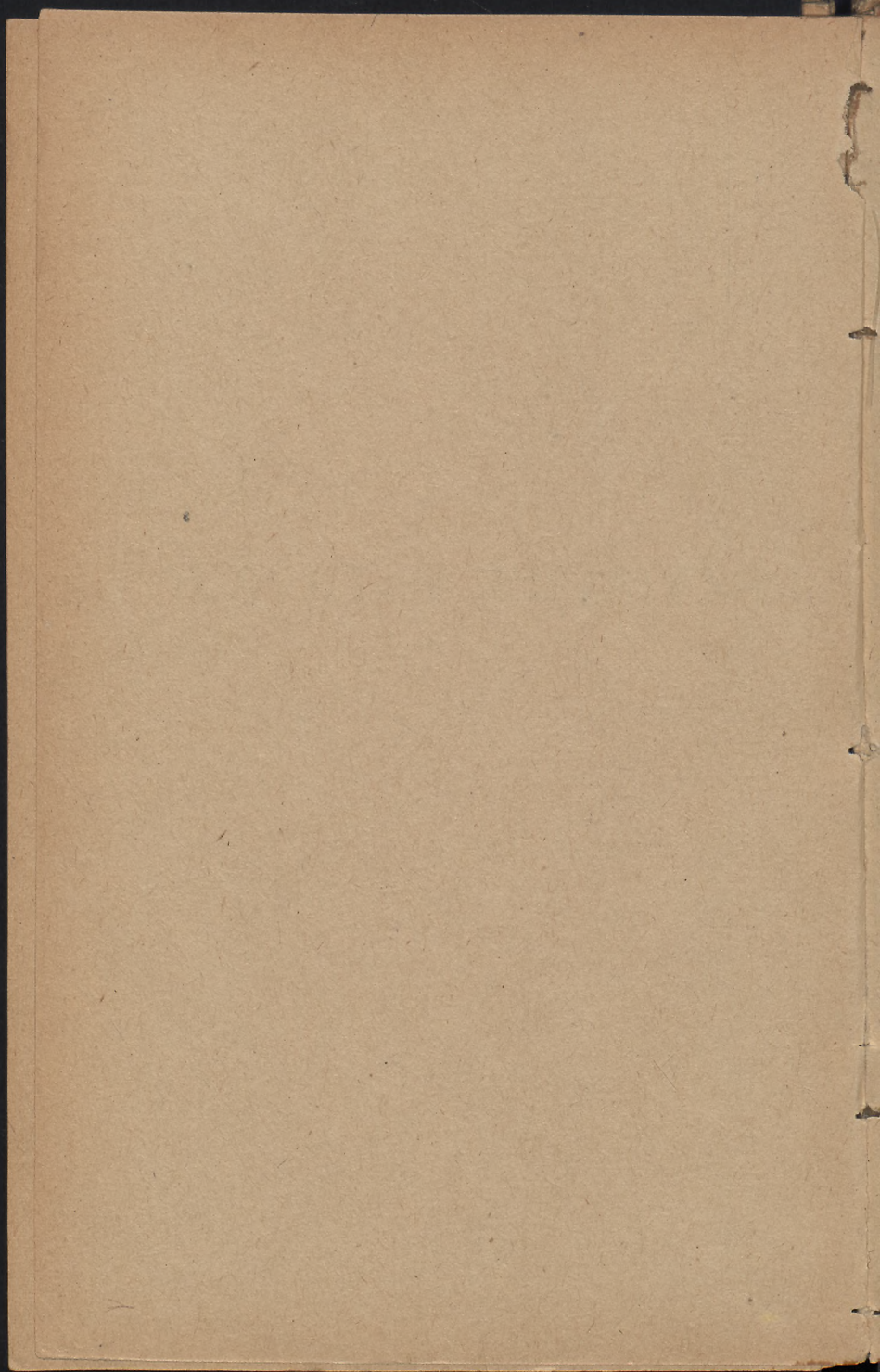
— A, to ty, nareszcie? Cóż ci takiego było?

Nic nie odpowiedziałem. Z pewnością siebie rozebrałem się i zająłem napowrót, tryumfująco miejsce, które tak niedawno haniebnie opuściłem.

Gabryela była zdumiona i przekonana, że użyłem jakiegoś tajemniczego środka.

I teraz, przy każdej sposobności mówi o sobie Rogera, tak jakby mówiła o jakimś niezawodnym naukowym zabiegu.

**PRZYJACIEL PATIENCE**



## PRZYJACIEL PATIENCE.

Czy nie wiesz co się stało z Loremy?  
Jest kapitanem przy szóstym pułku dragonów.

A Pinson?

Jest podprefektem.

A Racollet?

Umarł...

I długo jeszcze wyszukiwaliśmy inne imiona, znajdując między nimi jednych łysych, drugich brodatych, żonatych, ojców kilgorga dzieci i te wspomnienia z owemi zmianami wywoływały u nas nieprzyjemne dreszcze, z wrażenia, jak życie jest krótkiem, jak wszystko przechodzi i wszystko się zmienia...

Wśród tego przyjaciel zapytał mnie:

A Patience, ten gruby Patience?

Wydałem rodzaj ryku:

Och, o nim, coś ci opowiem. Byłem przed czterema, lub pięciu laty na objeździe kontrolnym w Limoges. Siedząc przed wielką kawiarnią na placu teatralnym, czekałem na obiad i nudziłem

się wściekle. Przychodzili tam kupcy, po dwóch, po trzech lub czterech, pili absynt lub Vermouth, rozmawiali głośno o swoich i cudzych interesach, śmiali się na cały głos, lub szeptem komunikowali sobie jakieś ważne wiadomości.

Sam sobie zadawałem pytanie co będę robił po obiedzie? I myślałem o tym długim wieczorze w tem prowincjonalnem mieście, o czekającym mnie powolnym, a bezcelowym spacerze po nieznanym ulicach, o przygniatającym smutku, który gnębi samotnego podróżnika, o tych przechodniach, którzy są ci zupełnie obcy we wszystkim, od stóp do głowy, ze swojemi przyzwyczajeniami i miejscowym akcentem. Przejmujący smutek szedł do mnie z tych domów, sklepów, pojazdów o dziwnych kształtach, z ruchu ulicznego, smutek, który wreszcie pędzi cię, jak gdybyś był zbłąkany w niebezpiecznym kraju, do hotelu, wstrętnego hotelu, w którym twój pokój czuć tysiącem podejrzanych zapachów, łóżko wstręt budzi, a miednica oblepiona jest dawno osiadłym brudem.

Myśląc o tem, patrzyłem jak zapalano gaz na ulicach, a razem z wieczorem zapadającym schodziła na mnie samotnika melancholia.

Nie miałem co robić z wieczorem, byłem sam, samotny, opuszczony.

Przy sąsiednim stoliku usiadł jakiś gruby mężczyzna i zawołał tubalnym głosem:

Garson, moja czarna!

To „moja“ brzmiało jak wystrzał armatni.

Zrozumiałem zaraz, że wszystko należało do niego, a nie do kogo innego, że miał swój charakter, swój apetyt, swoje spodnie, „swoje“ sam już nie wiem co, ale własne, absolutnie własne. Następnie, z miną zadowoloną rozglądał się naokoło. Podano mu jego czarną kawę, on zaś znowu zawołał:

Moją gazetę!

Pytałem sam siebie: jaka to będzie, ta jego gazeta. Tytuł jej odkryje mi zapewne jego opinie, zasady, upodobania, naiwności.

Garson przyniósł Temps. Byłem zdziwiony. Dlaczego Temps, dziennik poważny, doktrynerski, wpływowy?? Myślałem sobie:

Przecież to musi być mądry człowiek, o usposobieniu poważnem, regularnych zwyczajach, w końcu porządny mieszczanin.

Włożył na nos złote okulary, rozparł się i zanim zaczął czytać, rzucił jeszcze raz wzrokiem naokoło siebie. Spostrzegł mnie i odrazu począł mi się w sposób natarczywy i żenujący przyglądać. Miałem już zamiar zażądać od niego wytłomaczenia tej obserwacji, gdy nagle zawołał do mnie od swego stolika:

Tam do dyabła, przecież to Gontran Lardois. Odrzekłem:

Tak, panie, nie pomylił się pan.

Wstał gwałtownie z krzesła i zbliżył się do mnie z wyciągniętymi rękoma:

Ach, jak się masz, mój stary?

Byłem zakłopotany, nie poznawałem go wcale. Wyszeptalem:

Ależ... dobrze... a pan?

Zaczął się śmiać:

Założę się, że mnie nie poznajesz?

Zupełnie nie... Jednak zdaje mi się...

Uderzył mnie ręką w ramię:

No, no, bez blagi. Jestem Patience, Robert Patience, twój kolega.

Poznałem go. Tak, był to Robert Patience, mój kolega z kolegium. Uścisnąłem rękę, którą mi podawał:

A ty, ty jak się masz?

Ja, doskonale!

Uśmiech jego był pełen tryumfu.

Zapytał mnie:

A ty, co tu porabiasz?

Objaśniłem go, że jako inspektor finansów jestem na objeździe.

Wskazując na moją dekorację:

A więc, powiodło ci się?

Tak, wcale nieźle, a tobie?

Och! mnie, bardzo dobrze!

A ty czem się zajmujesz?

Ja, prowadzę interes.

Robisz pieniądze?

Duże, bardzo duże, jestem bardzo bogaty. Przyjdźże jednak do mnie jutro w południe na śniadanie, ulica Krucza, 17, zobaczysz moje urządzenie.

Przez chwilę zdawał się wahać, poczem zapytał:



Jesteś jeszcze tym dawnym urwiszem?

Tak, spodziewam się.

Nieżonaty, nieprawdaż?

Nie.

Tem lepiej. Lubisz zawsze zabawę i ziemniaki z masłem?

Zacząłem znajdować go niewypowiedzianie pospolitym. Mimo to odpowiedziałem:

Ależ tak.

A piękne dziewczynki?

Co do tego, to i owszem.

Zaczął się śmiać tonem zadowolenia:

Tem lepiej, tem lepiej. — Przypominasz sobie zapewne nasz pierwszy żart w Bordeaux kiedyśmy to byli na kolacyi w knajpie u Roupie? He? To dopiero było wesele.

Przypomniałem sobie istotnie ową zabawę i wspomnienie to rozweseliło mnie. Potem inne wspomnienia przysły mi na myśl, potem znów inne; rozmawialiśmy dalej:

Pamiętasz o tem jak zamknęliśmy owego pioniera w piwnicy ojca Latoque?

On śmiał się, bijąc pięścią po stole:

Tak... Tak... a ty przypominasz sobie gębę profesora geografii, Marin, kiedy puściliśmy petardę, w chwili gdy wykladał nam o wulkanach?

Wśród tego, nagle zapytałem go:

A ty, jesteś żonaty?

Zawołał:

Od dziesięciu lat, mój drogi, mam czworo

dzieci, zadziwiające bębny. Zobaczysz je razem z matką.

Rozmawialiśmy głośno, sąsiedzi z podziwieniem oglądali się na nas.

Nagle mój przyjaciel spojrzął na zegarek, chronometr wielkości cytryny i zawołał:

Do pioruna! Przykre to, lecz muszę cię opuścić; wieczorami nie jestem wolny.

Wstał, na pożegnanie trząśł mojami rękami jak gdyby chciał je wyrwać z ramion i wyrzekł:

Do jutra, do południa, to ułożone!

Ułożone.

Przedpołudnie spędziłem w biurze generalnego skarbnika. Chciał mnie zatrzymać na śniadanie, przeprosiłem go jednak, że mam umówione spotkanie u mego przyjaciela. Towarzyszył mi zatem po drodze.

Zapytałem go:

Czy wie pan gdzie jest ulica Krucza? Odpowiedział:

Wiem, to jest pięć minut stąd. Ponieważ nie mam nic do roboty, odprowadzę pana.

I poszliśmy.

Wkrótce doszliśmy do ulicy, której szukałem. Była to wielka, dosyć ładna ulica, na skraju miasta i pól. Spoglądałem po domach i dojrzałem numer 17. Dom przedstawiał się jakby pewnego rodzaju hotel, z ogrodem z tyłu. Front ozdobiony freskami, o stylu włoskim, robił wrażenie złego gustu. Widziało się boginie nachylone nad urnami, to znów inne, okryte lekkim obłokiem,

kryjącym ich sekretne wdzięki. Dwa rzeźbione amorki podtrzymywały numer domu.

Odezwałem się do skarbnika:

To tutaj się udaje.

Podąłem mu rękę na pożegnanie. Zauważyłem, że zrobił nagły, dziwny ruch, nic jednak nie rzekł i uściśnął moją wyciągniętą rękę.

Zadzwoiłem. Zjawiała się służąca, zapytałem ją:

Czy tu mieszka pan Patience?

Tutaj proszę pana... Czy z nim samym pragnie się pan zobaczyć?

Ależ, tak.

Przedśionek był podobnie ozdobiony jakimś malowidłami pędzla widocznie miejscowego artysty. Pod palmami, w różowym oświetleniu ścisnął się Paweł z Wirginią. Wschodnia a obrzydliwa latarnia zwieszała się z sufitu. Kilkoro drzwi zasłaniały jaskrawe kotary.

Ale to co przedewszystkiem mnie uderzało, to jakiś dziwny zapach. Zapach dławiący i przesycony różnemi perfumami, przypominający puder ryżowy i pleśń piwniczną. Zapach, niedający się określić w tej ciężkiej atmosferze, przyniatający jak para w łaźni, zmieszana z potem ciał ludzkich. Szedłem za służącą po marmurowych schodach, nakrytych dywanem w stylu wschodnim i wszedłem wreszcie do zbytkownie urządzonego salonu.

Pozostawiony sam sobie rozglądałem się wokoło.

Salon był bogato umeblowany, ale z pre-

tensją dorobkiewicza. Na ścianach wisiały grawury z ostatniego stulecia, zresztą dość ładne, przedstawiające kobiety o wysokiej pudrowanej fryzurze, w połowie nagie, napadane przez zalotników o interesujących pozach. Inna dama, w pozie leżącej na wielkim rozburzonym łóżku, igrała nogą z małym pieskiem zaplątanym w suknie; inna znowu nie opierała się z widocznym zadowoleniem, kochankowi, którego ręka ginęła pod spódniczkami. Jeden rysunek przedstawiał cztery stopy od dwóch postaci, w pewnej pozie, ukrytych za parawanem.

Obszerny pokój ten, obity miękkimi dywanami, przesycony był również tą denerwującą a ckliwą wonią, która mnie uderzyła na wstępie. Coś podejrzanego wychodziło z tych murów, materij, z tego przesadzonego zbytku, ze wszystkiego.

Zbliżywszy się do okna, spojrzałem w ogród. Był on dosyć duży, zacieniony, także wspaniale utrzymany. Szeroka ścieżka otaczała gazon, z którego wystrzelała w górę fontanna, biegła potem popod gęste drzewa i znowu wiała się dalej. Wtem, w głębi, między dwoma kępami drzew zjawily się trzy kobiety. Szły powoli, trzymając się za ręce, ubrane w długie białe peniuary, omglone koronkami. Dwie były blondynkami, a trzecia brunetką. Zdziwiony, zachwycony tem krótkim a uroczem zjawiskiem, stałem w milczeniu. Za ledwie mi się zjawily w tem świetle gęstego, przyciemnionego parku. Zdawało mi się na chwilę,

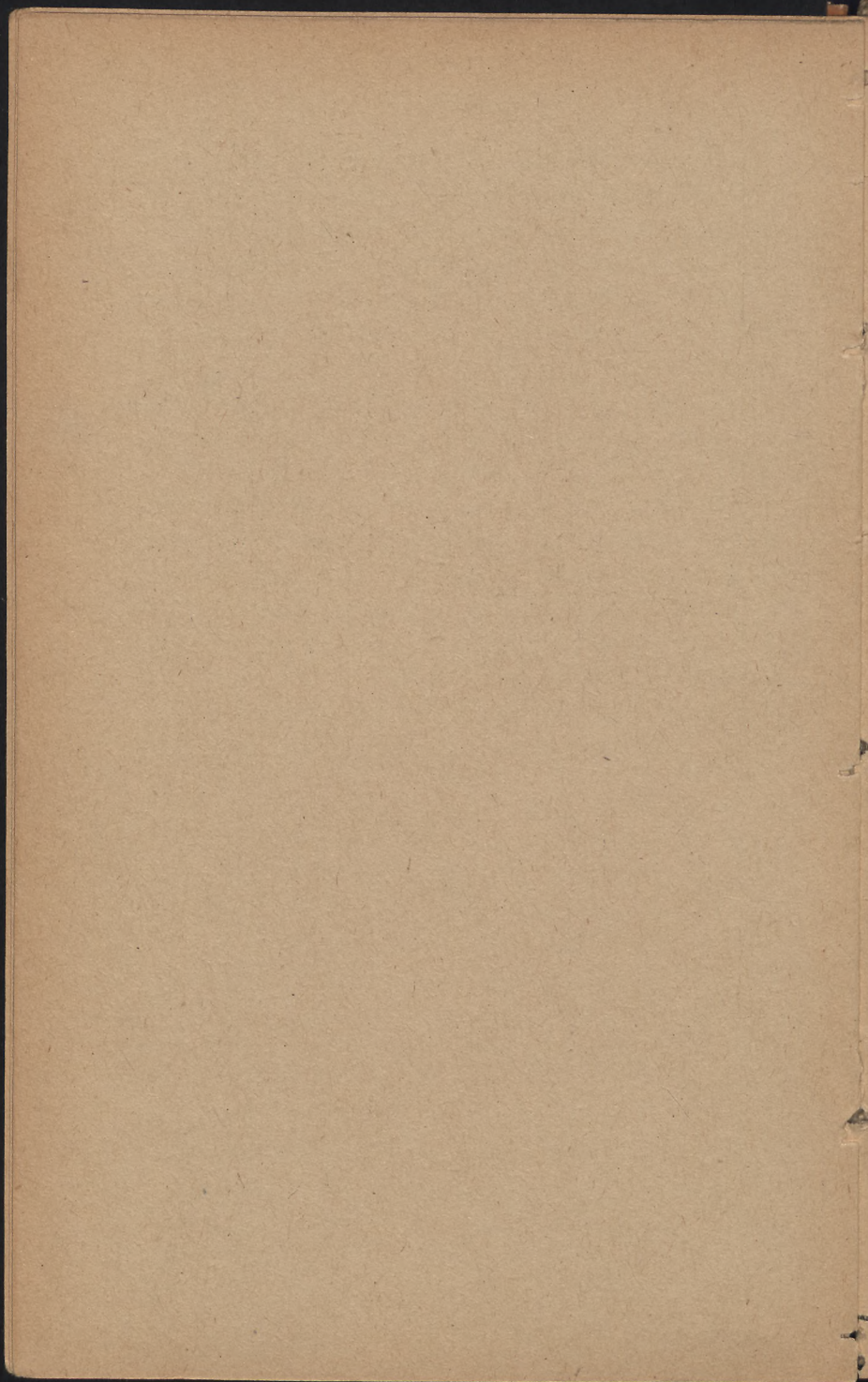
że patrzę na piękne kobiety innego wieku, błędzące alejami grabowemi, na te piękne kobiety, których swawolne miłości przedstawiały grabury na ścianach. Myślałem o tych szczęśliwych czasach, kwitnących, rozkosznych i czułych, w których obyczaje były tak słodkie, a usta tak swobodne.....

Tubałny głos zbudził mię z tej zadumy. Jaśniejący radością zbliżał się ku mnie z wyciągniętymi rękoma, mój przyjaciel Patience.

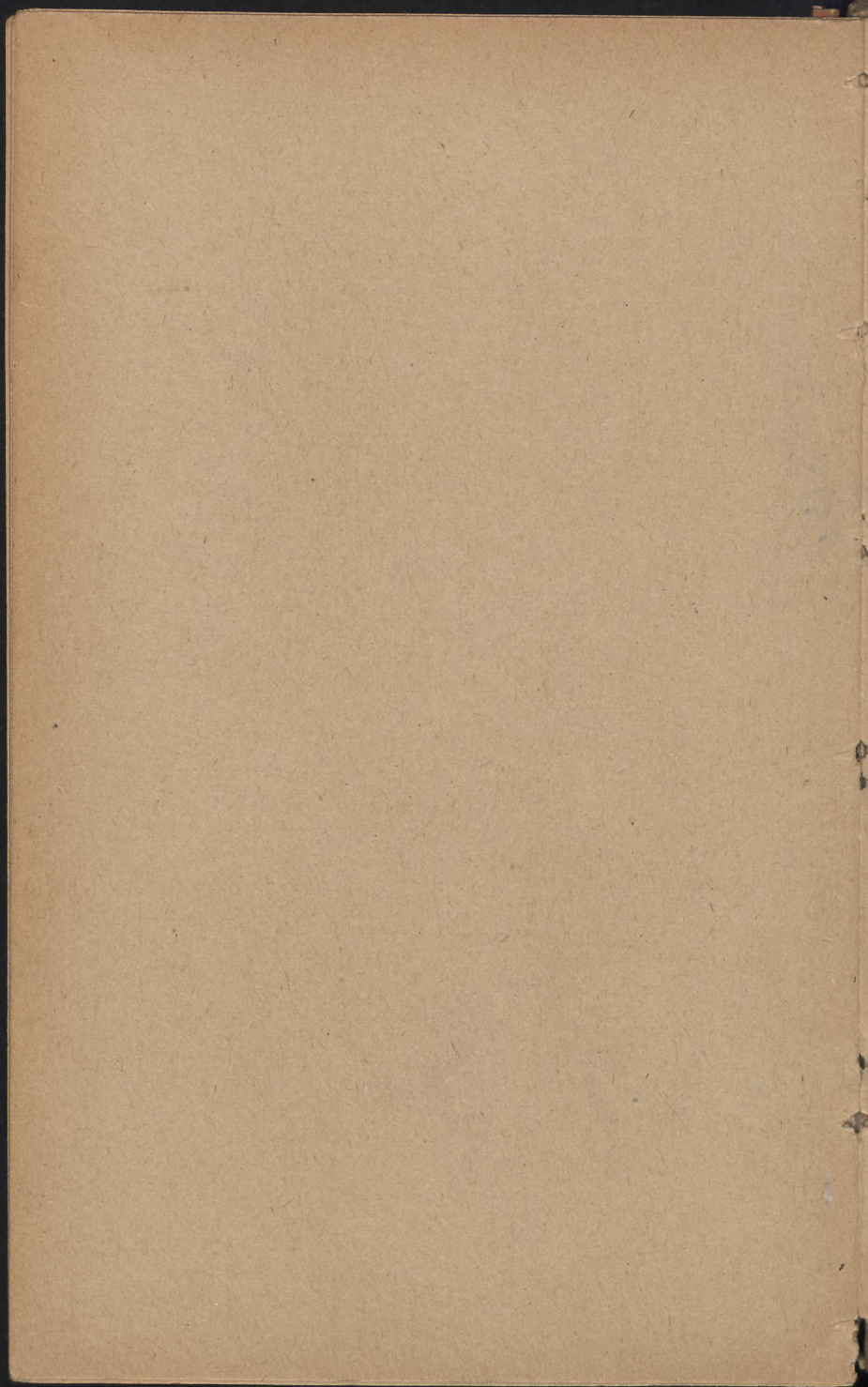
Spojrzał mi w głąb oczu podejrzliwie i szerokim, półkolistym giestem, giestem Napoleona, pokazał mi swój zbytkowny salon, swój park, w głębi którego zjawily się znowu owe trzy kobiety i odezwał się do mnie głosem pełnym tryumfującej dumy i zadowolenia:

Trzeba ci wiedzieć że od niczego zacząłem.... z moją żoną i siostrą mej żony.....





**ODKRYCIE.**





## ODKRYCIE.

Statek był pełen ludzi. Przeprowa wycieczkowców z Hawru do Trouville zapowiadała się świetnie.

Podniesiono kotwice. Ostatni świst gwizdka oznajmił odjazd i natychmiast ciałem całego okrętu wstrząsnęło drżenie, po bokach zaś słychać było szelest poruszanej wody. Koła obracały się przez kilka sekund, zatrzymywały się i znów lekko obracać się poczęły. Kapitan stojący na swoim pokładzie przez tubę schodzącą aż do głębokości maszyny, zawołał: „w drogę“ i koła gwałtownie bić w wodę zaczęły.

Płynęliśmy wzdłuż tamy pokrytej ludźmi. Ludzie na statku powiewali chustkami, jak gdyby jechali do Ameryki, pozostali ich przyjaciele na lądzie odpowiadali im w ten sam sposób.

Wielkie lipcowe słońce padało na czerwone parasolki, jasne toalety, wesołe twarze, na ocean lekko falujący. Po wyjściu z portu, mały statek zrobił nagły skręt, kierując swój kończasty nos w stronę dalekiego brzegu, widzialnego po przez mgłę poranną.

Na lewo, rozciągało się ujście rzeki Seine, szerokie na dwadzieścia kilometrów. Miejscami widać było beczki oznaczające ławy piaskowe, zdaleka zaś rozpoznać było można łagodne i błotniste wody rzeki, które nie mieszając się z wodą słoną, rysowały się wielkimi żółtymi wstęgami wśród ogromnej, zielonkawej i czystej przestrzeni pełnego morza.

Na statku odczuwam zaraz potrzebę chodzenia tam i z powrotem jak marynarz na straży. Dlaczego? Sam nie wiem. Począłem przeto spacerować po pokładzie wśród tłumu podróżnych.

Nagle ktoś mnie zawołał. Odwróciłem się. Był to jeden z moich dawnych przyjaciół Henryk Sidoine, którego od dziesięciu lat nie widziałem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozpoczęliśmy razem, rozmawiając to o tem, to o owem, nasz spacer niedźwiedzia w klatce, który przedtem sam wykonywałem. Wśród rozmowy przyglądaliśmy się podróżnym siedzącym dwoma szeregami na pokładzie okrętu.

Nagle Sidoine wyraził się z prawdziwą wściekłością:

Pełno samych Anglików tutaj! Co za plugawy naród.

Istotnie pełno było Anglików na okręcie. Mężczyźni stojąc lornetowali horyzont z miną poważną, która zdawała się mówić:

To my, Anglicy, jesteście panami morza!  
Bum! Bum! Oto my!....

A powiewające z ich kapeluszy białe woale,

miały wygląd chorągwi świadczących o ich zadowoleniu.

Młode, płaskie misses, o stopach przypominających ich okręty wojenne, otulone w różnokolorowe szale, uśmiechając się niewyraźnie na widok tego wspaniałego pejzażu. Małe ich główki, wystrzelające ponad temi długimi postaciami, nakryte były angielskimi kapeluszami, o dziwacznej formie, a misternie poupinane ich fryzury podobne były do zwoju węzów.

Stare misses jeszcze bardziej długie i cienkie, otwierając swoje charakterystyczne szczęki, zdawały się grozić przestrzeni, żółtymi, nieproporcjonalnymi zębami.

Przechodząc koło nich czuło się formalnie zapach kauczuku i wody do zębów.

Sidoine powtórzył ze wzrastającym gniewem:

Wstrętny, plugawy naród. Czyby to nie można zakazać im przybywania do Francji?

Zapytałem go rozbawiony:

Cóż ci winni takiego? Co do mnie, są mi oni zupełnie obojętni.

Tobie zapewne że tak, ale nie mnie, który ożeniłem się z Angielką.

Stałem i mało brakowało a byłbym mu się w nos roześmiał.

Cóż tam do dyabła! Opowiedz no mi o tem. Jesteś przez nią nieszczęśliwym?

Wzruszył ramionami:

Ściśle biorąc, nie.

Jest zatem... zatem... ci niewierną?

Na nieszczęście nie. Byłby to powód do roz-  
wodu i pozbyłbym się jej na zawsze.

Teraz nie rozumiem cię wcale.

Nie rozumiesz? Wcale mnie to nie dziwi.  
Otwarcie mówiąc, nauczyła się po francuzku.  
O nic innego nie chodzi. Zresztą posłuchaj:

Nie miałem wogóle zamiaru nigdy się żenić,  
gdy przed dwoma laty udałem się nad morze  
do Etetat. Nic niebezpieczniejszego niema na  
świecie nad miejsca kąpielowe. Nikt nigdy nie  
zdaje sobie z tego sprawy jak one na korzyść  
wychodzą wszystkim panom. Wycieczki na o-  
słach, ranne kąpiele, śniadania na trawie, wszy-  
stko są łapki na mężów. I istotnie niema nic mil-  
szego jak takie dziecko ośmnastoletnie biegnie  
przez pole, albo wzdłuż ścieżki zbiera kwiatki.

W tym samym hotelu, w którym ja stałem,  
poznałem jedną rodzinę z Anglii. Ojciec podobny  
był do mężczyzn, których tu widzisz, a matka  
do wszystkich Angielek.

Było tam dwóch kościstych synów, którzy  
od rana do wieczora zajmowali się grą w piłkę,  
wywijali raketami, lub maczugami, oraz dwie  
córki, starsza sucha, prawdziwe angielskie pu-  
dełko na konserwy, młodsza zaś, powiadam ci,  
cudowna! Blondynka, raczej złotowłosa, główkę  
miała jak bogini. Kiedy te szelmeczki starają  
się być piękne, są wprost nadzwyczajne. Ta mo-  
ja miała oczy habrowe, te oczy, które zdają się  
mieścić w sobie całą poezję, marzenie, nadzieję,  
szczęście nadziemskie! Jakiż to szeroki horyzont

dla nieskończonych marzeń otwierają podobne oczy kobiece.

Trzeba jeszcze wiedzieć, że my francuzi, podziwiamy zawsze cudzoziemki. Ilekroć znajdziemy się w towarzystwie Włoszki, Szwedki, Hiszpanki, Polki albo Angielki, nieco tylko przystojnej, w jednej chwili jesteśmy w niej zakochani. Wszystko co pochodzi z zagranicy entuzjazmuje nas, sukna na spodnie, kapelusze, rękawiczki, strzelby — kobiety... A nie mamy tymczasem słuszności.

Mnie się zdaje, że to co nas najbardziej pociąga do cudzoziemek to ich brak dobrej francuzkiej wymowy. Jak tylko źle kobieta mówi naszym językiem, jest już przemiała; jeśli co słowo robi błędy jest już wspaniała, a jeśli bełkocze w sposób wprost niezrozumiały, urok jej dla nas staje się nie do przewyciężenia.

Ty nie wyobrażasz sobie nawet jak to jest przyjemnie słyszeć z różowych ustek takiej delikatnej osóбки: Lubić bardzo baraniego pieczen.

Moja mała Angielka mówiła nieprawdopodobnym językiem. W pierwszych dniach nic jej nie rozumiałem, wynajdywała wprost nie oczekiwane słowa. Później zakochałem się w tem komicznem i wesołem szczebiotaniu.

Wszystkie śmieszne, dziwne, pokaleczone wyrażenia, nabierały w jej ustach nadzwyczajnego uroku. Wieczorami, na tarasie Kasyna prowadziliśmy długie rozmowy, które były podobne do konwersacyjnych zagadek.

I ożeniłem się z nią. Kochałem ją szalenie, jak tylko kochać można marzenie. Prawdziwi kochankowie bowiem, ubóstwiają naprawdę tylko marzenie wcielone w kobietę.

A potem mój drogi jedyne głupstwo jakie zrobiłem, było to, że dałem mojej żonie nauczyciela języka francuzkiego.

Kochałem ją dopóty, dopóki męczyła słownik i kaleczyła gramatykę.

Nasze rozmowy były wówczas bardzo proste. Odkrywały mi one niezwykle wdzięk istoty, nieporównaną elegancję jej ruchów, była ona dla mnie cudownym, mówiącym klejnocikiem, żywą lalką do całowania, umiejącą zaledwie wyliczyć to co kochała, wydawać czasem parę dziwnych okrzyków, wypowiedzieć w sposób kokieterjny, zaledwie zrozumiały i oczekiwany, swoje wrażenia, albo mało skomplikowane uczucia.

Podobną była bardzo, do tych pięknych zabawek, które wymawiają „Papa“ i „Mama“, w sposób „paapa i maamau“.

Czyż mogłem sądzić, że....

Teraz ona mówi... mówi źle, bardzo źle, Robi tyleż samo błędów.... ale można ją zrozumieć. Tak, rozumiem ją, wiem.... znam ją...

Potargałem moją laleczkę ażeby zajrzeć do środka.... i zobaczyłem. No i teraz mój drogi trzeba z nią rozmawiać.

Ach, ty nie znasz przekonań, idei, teoryj, jakie ma młoda, dobrze wychowana Angielka,

której nic nie można zarzucić, a która powtarza od rana do wieczora zdania z rozmówek przeznaczonych do pensjonatu młodych panienek.

Widziałeś zapewne te niespodzianki kotylinowe, te piękne pozłacane papierki zawierające niemożliwe cukierki. To ja mam jeden taki. Rozdarłem go. Chciałem go zjeść i dostałem takiego obrzydzenia że doznaję torsyi teraz na widok jednej z jej rodaczek.

Ożeniłem się z papugą której mogła być jaka stara nauczycielka angielska dawać lekcji francuzkiego. Rozumiesz teraz?

Widać było już nadbrzeżne tamy portu Trouville, pełne ludzi.

Zapytałem go:

A gdzie jest twoja żona?

Odstawiłem ją do Etretat.

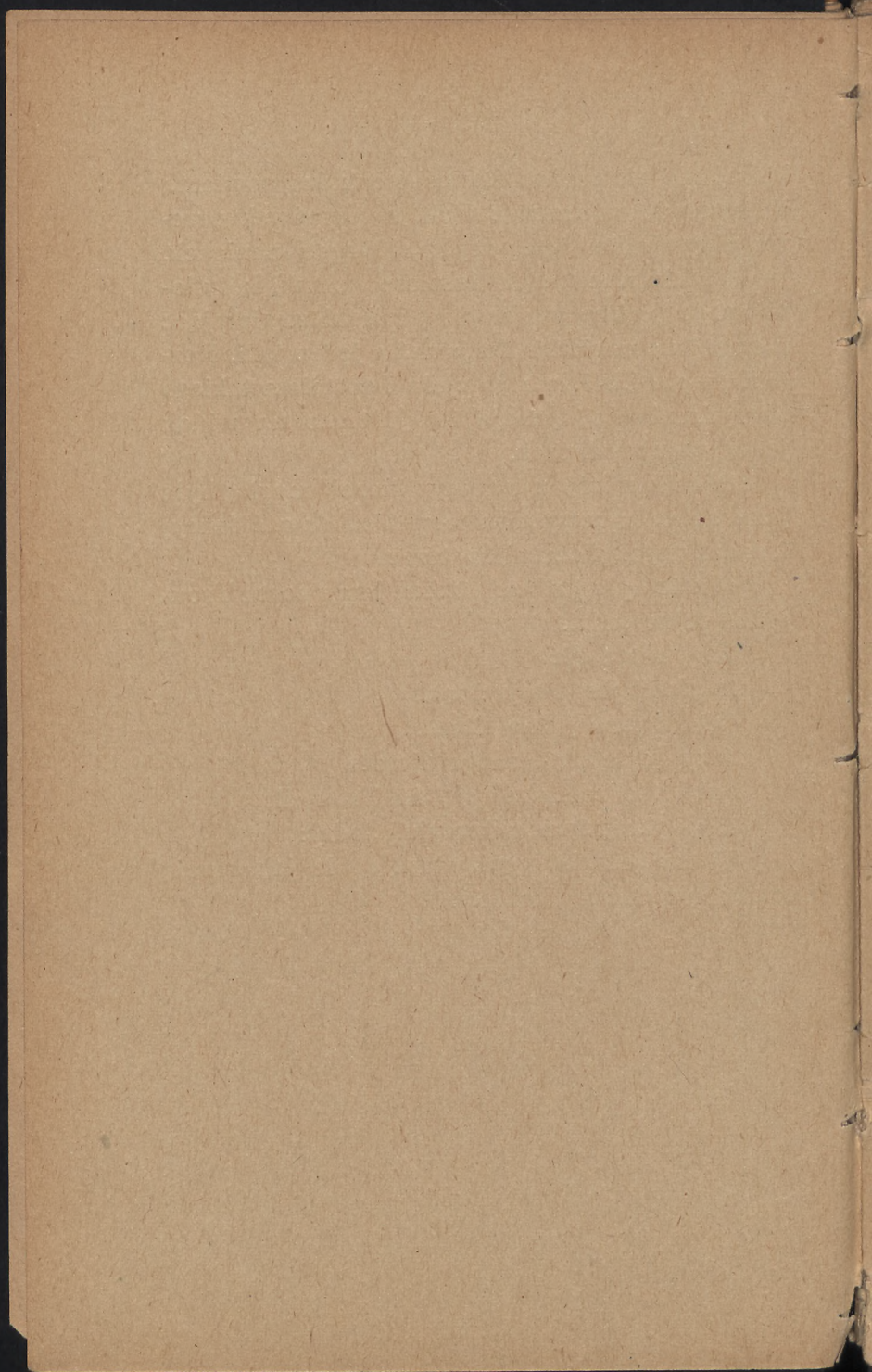
A ty gdzie się teraz udajesz?

Ja? Jadę rozerwać się do Trouville.

A po krótkim milczeniu, dodał:

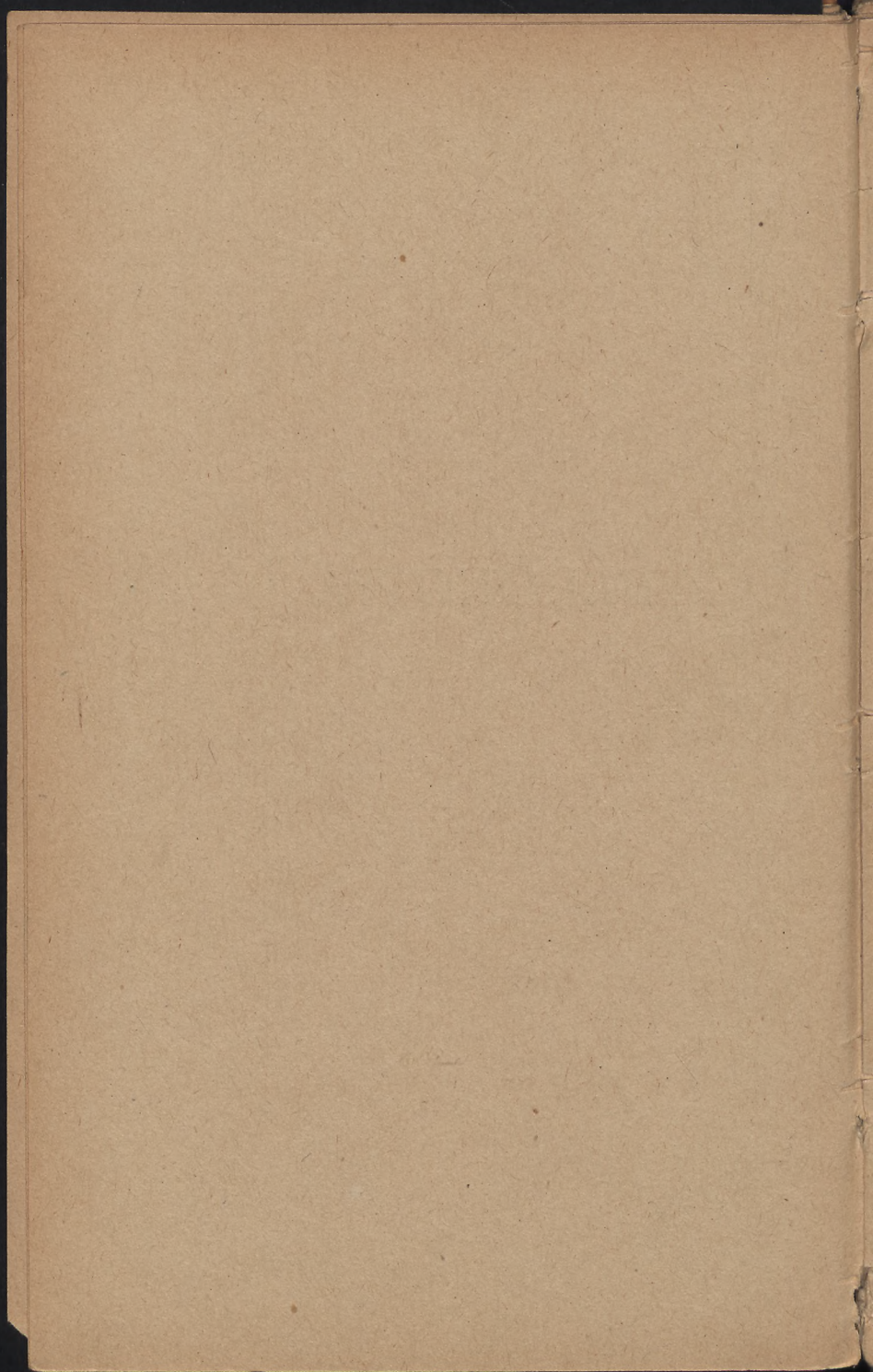
Ty nawet nie wyobrażasz sobie jak głupią może być czasem kobieta.







**BARONOWA**



## BARONOWA.

Będziesz mógł zobaczyć tam interesujące cacka, rzekł mi mój przyjaciel Boisrené, pójdź ze mną.

Zaprowadził mnie na pierwsze piętro pięknego domu, na jednej z wielkich ulic Paryża. Przyjął nas mężczyzna bardzo elegancki, o wykwintnych manierach, oprowadzał nas i pokazywał rzadkie przedmioty wymieniając niedbale ceny. Wielkie sumy, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt tysięcy franków, wychodziły z jego ust z taką łatwością i wdziękiem, że nie można było wątpić iż istotnie miliony zamknięte są w tych zbiorach, tego wielkoświatowego kupca.

Renoma jego znaną mi zresztą była oddawna. Bardzo zręczny, giętki, bardzo inteligentny, służył za pośrednika przy wszelkiego rodzaju transakcyach. Będąc w stosunkach ze wszystkimi najzamożniejszymi amatorami Paryża, ba, nawet Europy i Ameryki, znając ich gusta i ich chwilowe zachcianki, zawiadamiał ich jednym słowem, albo depeszą, jeśli mieszkali w jakim odleglej-

szem mieście, o jakim przedmiocie do kupna, mogącym im przyspaść do gustu.

Ludzie najlepszego towarzystwa zgłaszali się do niego w chwilowych kłopotach, czyto, żeby uzyskać pieniądze na grę, czyto żeby dług jaki zapłacić, by sprzedać jaki obraz, jaką kosztowność familijną, obicję, nawet konia, lub jaką posiadłość w chwili jakiej przykrej katastrofy.

Twierdzono, że nie odmawiał nigdy swoich usług, o ile przewidywał nadzieję zysku.

Był wzrostu wysokiego, szczupły, łysy, nadzwyczaj elegancki. Słodki jego głos, znaczący, miał szczególny urok, jakiś kuszący urok, który nadawał tym rzeczom jakąś specjalną wartość. Gdy trzymał w swoich palcach jakieś cacko, obracał je, odwracał, patrzył na nie z taką zręcznością, dokładnością, elegancją i zamiłowaniem, że przedmiot ten zdawał się zyskiwać zaraz na piękności jak gdyby przeistoczony jego dotknięciem i spojrzeniem. I oceniało się je zaraz o wiele drożej aniżeli przedtem, zanim z gablotki dostało się w jego ręce.

— A pański Chrystus, rzekł Boisrené, ten piękny Chrystus z czasów Renessansów, którego pokazywałeś mi pan zeszłego roku?

Mężczyzna uśmiechnął się i rzekł:

— Jest sprzedany i to w bardzo dziwny sposób. Prawdziwie paryska historia. Chcesz pan, żebym mu ją opowiedział?

— Ależ z przyjemnością.

— Czy zna pan baronową Samoris!

— Tak i nie. Widziałem ją raz, ale nie wiem nic o niej bliższego.

— Ale znasz ją pan.... lecz niezupełnie?

— Tak.

— Zechce mi pan powiedzieć, co pan wie o niej, żebym wiedział czy się nie mylisz?

— Bardzo chętnie. Pani Samoris jest damą światową, ma małą córkę, chociaż nikt nigdy nie znał jej męża. W każdym razie, jeśli nie miała męża, miała dyskretnych kochanków, albowiem obraca się w pewnem tolerancyjnym, albo ślepem towarzystwie.

Uczęszcza do kościoła, przyjmuje sakramenta z nabożeństwem i w sposób ażeby o tem wiadano, nie kompromituje się nigdy. Ma również nadzieję, że córka jej zrobi dobrą partyę. Czy tak?

Tak, lecz pozwoli pan, że uzupełnię jego wiadomości. Jestto kobieta na utrzymaniu, która każe się szanować swoim kochankom, tak, jak gdyby nigdy ją z nimi nic nie łączyło. W tem jest rzadka zasługa; albowiem w ten sposób uzyskuje się od mężczyzny to, czego się pragnie. Ten, którego wybrała mimowoli stara się o nią i zabiega długo, pożąda jej z obawą, towarzyszy jej z nieśmiałością, osiąga ją zdziwiony i posiada ją z poszanowaniem. Nie spostrzega się nawet że ją płaci, z takim bierze się ona do tego taktem. I utrzymuje ona swoje stosunki w takim tonie rezerwy, godności i tego co wypada, że opuszczający jej łóżko, gotówby był wypoliczkować

drugiego mężczyźne, któryby podejrywał cno-  
tę jego metresy. I to w najlepszej wierze.

Oddałem tej kobiecie kilkakrotnie kilka usług.  
Ona też niema sekretów przedemną.

Otóż w pierwszych dniach stycznia, przybyła  
do mnie z prośbą o pożyczanie jej trzydziestu  
tysięcy franków. Nie pożyczyłem ich jej rozu-  
mie się, że jednak pragnałem ją sobie zobowią-  
zać, poprosiłem ją, żeby mi przedstawiła dokła-  
dnie swoją sytuacye, bym mógł zobaczyć, czy  
nieda się dla niej co zrobić.

Opowiedziała mi wtedy o swem położeniu  
z taką delikatnością i przezornością, jak gdyby  
mówiła mi o pierwszej komunii swojej córki.  
Zrozumiałem w końcu z tego, że czasy były cięż-  
kie i że znalazła się bez grosza.

Kryzys 'handlowa, niepokoje polityczne, któ-  
re obecny rząd zdaje się dla swej przyjemności  
podtrzymywać, pogłoski o wojnie, powszechny  
zastój, zahamowały obrót pieniędzy nawet w re-  
kach kochanków.

A przecież ta uczciwa kobieta, nie mogła się  
oddać pierwszemu lepszemu.

Potrzeba jej było mężczyzny z towarzystwa,  
z najlepszego świata, któryby ustalił jej repu-  
tację, dostarczając jej zarazem na potrzeby co-  
dzienne. Vireuz, nawet bardzo bogaty, mógłby  
ją skompromitować nazawsze i małżeństwo jej  
córki zrobić problematycznym. Nie mogła także  
wcale liczyć na ubliżających pośredników, któ-  
rzy mogli ją na jakiś czas wyciągnąć z kłopotu.

Musiała zatem utrzymać dom na dawnej stopie, prowadzić dom otwarty, by nie stracić nadziei znalezienia w liczbie swoich gości, dyskretnego i dystyngowanego przyjaciela, którego oczekiwała i którego wybraćby mogła.

Zrobiłem jej uwagę, że moje trzydzieści tysięcy franków mało miały szansy powrócenia do mnie. Z chwilą bowiem gdyby je wydała, trzeba było, żeby naraz uzyskała najmniej sześćdziesiąt tysięcy, by mnie zwrócić połowę.

Słuchając mnie wówczas, zdawała się być zrozpaczoną. Sam już nie wiedziałem coby tu wymyśleć, gdy wtem, prawdziwie genialna myśl wpadła mi do głowy.

Właśnie kupiłem był, tego Chrystusa z czasów Renessansu, którego pokazywałem panu, wspaniały kawałek, coś najpiękniejszego w tym stylu, co kiedykolwiek widziałem.

Moja droga przyjaciółko, rzekłem, każe zanieść do pani tę rzeźbę z kości słoniowej. Pani wymyśli jakąś zręczną, rzewną, a poetyczną historię, zresztą jaką chcesz, celem usprawiedliwienia chęci pozbycia jej. Naturalnie, ma to być familijna pamiątka odziedziczona po ojcu pani.

Ja zaś będę przysyłał pani amatorów, sam ich nawet przyprowadzę do pani. Reszta należy do pani. Dzień przedtem dam pani bliższe szczegóły o ich sytuacji. Ten Chrystus wart pięćdziesiąt tysięcy franków, oddam go jednak za trzydzieści. Różnica należyć będzie do pani.

Ona chwilę namyślała się głęboko, poczem

odrzekła: Tak, może to jest i dobra myśl. Bardzo panu dziękuję.

Nazajutrz kazałem zanieść do niej mego Chrystusa i tegoż samego wieczoru posłałem do niej barona de Saint-Hospital.

Przez trzy miesiące posyłałem jej moich klientów, wszystkich jakich miałem najlepszych, najlepiej sytuowanych wedle moich informacji. Nie słyszałem jednak nic o niej.

Pewnego razu, mając u siebie jednego obco-krajowca mówiącego bardzo źle po francuzku, zdecydowałem się sam przedstawić go pani Samoris.

Lokaj czarno ubrany przyjął nas, wprowadził nas do pięknego, przyciemnionego, z gustem umeblowanego salonu, gdzie czekaliśmy kilka minut. Zjawiała się ona, miła, zachwycająca, podała mi rękę i prosiła nas siedzieć. Gdy wytłomaczyłem jej powód naszego przybycia, zadzwoniła.

Lokaj zjawił się znowu.

— Pójdź, rzekła i dowiedz się czy panna Izabela pozwoli nam wejść do kaplicy.

Młoda panna sama przyszła z odpowiedzią. Miała piętnaście lat, postać skromną i dobrą, pełną świeżej młodości.

Sama zapragnęła zaprowadzić nas do swojej kaplicy.

Był to rodzaj świętego buduaru, w którym przed Chrystusem, przed moim Chrystusem leżącym na pewnego rodzaju żłóbku z czarnego aksamitu, paliła się srebrna lampka. „Mise en



scène“ była wspaniałą i bardzo zręczną.

Dziewczątko przeżegnało się i rzekło:

— Patrzenie, panowie. Czyż nie jest pięknym?

Wziąłem przedmiot do ręki, oglądałem go i oświadczyłem, że jest niepospolicity. Cudzoziemiec oglądał go także z zainteresowaniem, zdawał się jednak o wiele więcej zajętym kobietami, jak Chrystusem.

Czuło się dobrze w ich mieszkaniu, czuć było kadzidła, kwiaty i perfumy. Byłoto istotnie mieszkanie z komfortem, które zapraszało pozostać.

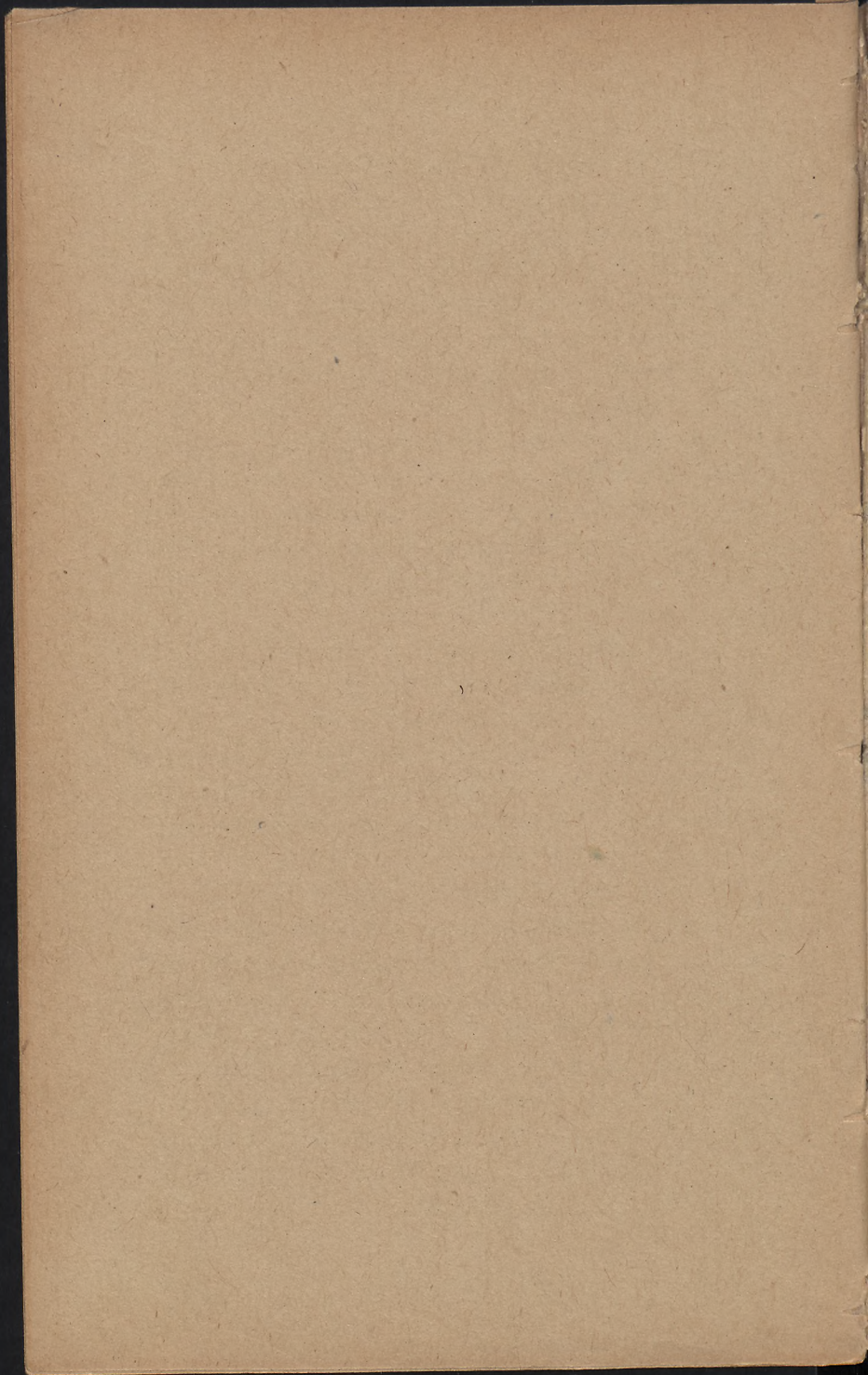
Po powrocie do salonu przystąpiłem z rezerwą i delikatnie do kwestyi ceny, pięćdziesiąt tysięcy franków. Następnie dodała:

— Jeśli pragniesz go pan jeszcze raz obejrzeć, jestem zawsze przed trzecią w domu; jestem zawsze w domu do tego czasu.

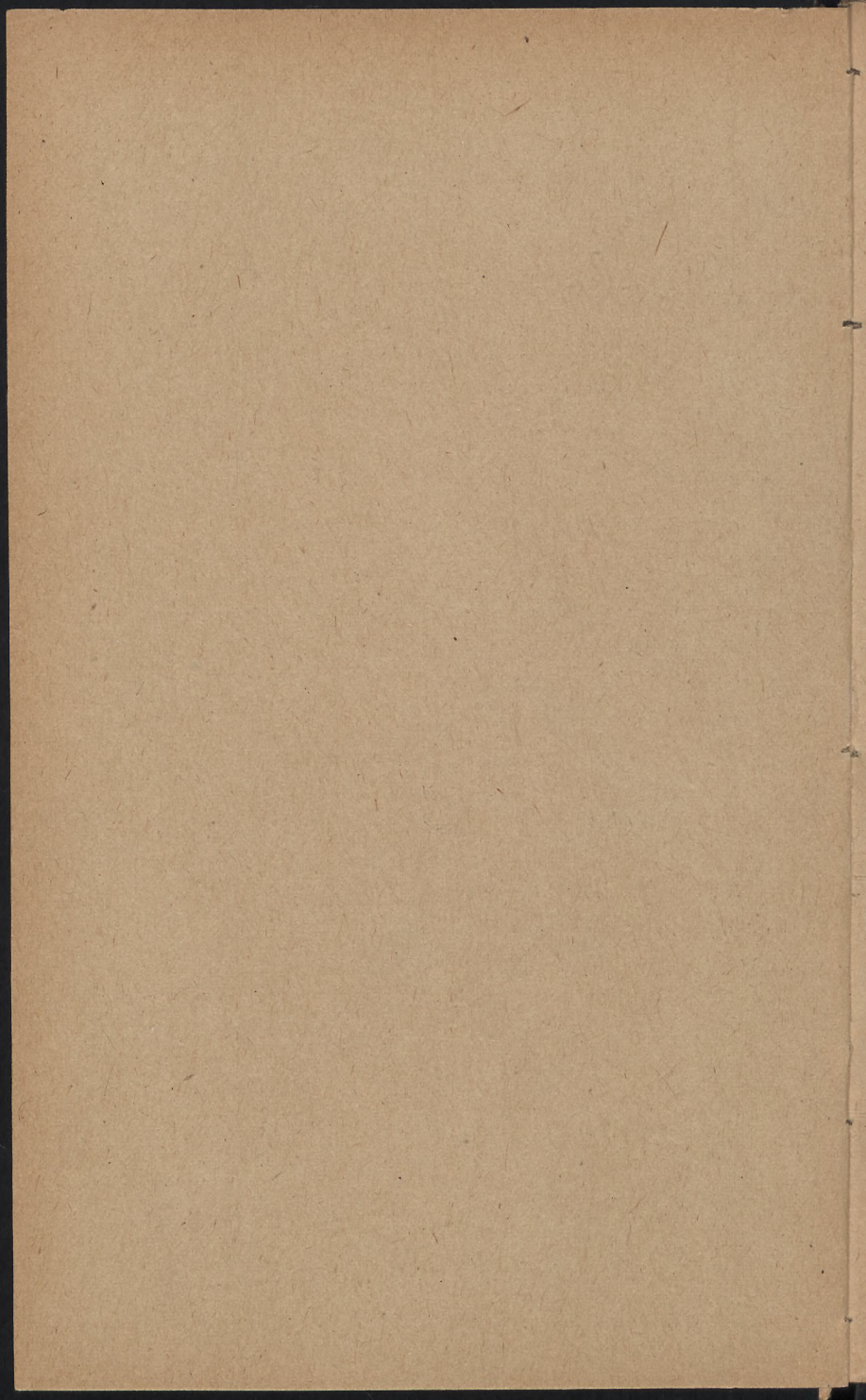
Na ulicy, cudzoziemiec prosił mnie o bliższe szczegóły o baronowej, która zrobiła na nim wielkie wrażenie. Później jednak nie słyszałem nic, ani o nim, ani o niej.

Jeszcze trzy miesiące minęły.

Jednego ranka, właśnie piętnaście dni temu zaledwie, przybyła ona do mnie i wręczając mi portfel: Mój drogi, jesteś aniołem! Oto pięćdziesiąt tysięcy franków. To ja kupuję pańskiego Chrystusa, płacę za niego dwadzieścia tysięcy franków więcej, jak było umówione, pod warunkiem, że mi będziesz przysyłał zawsze..... zawsze klientów..... jest bowiem jeszcze do sprzedania.... mój Chrystus.



**OPUSZCZONY OKRĘT**



## OPUSZCZONY OKRĘT.

Było to wczoraj, 31-go grudnia.

Spożywałem właśnie śniadanie z moim starym przyjacielem, Jerzym Garin. Służący mój przyniósł mu list, którego koperta pokryta była obcemi markami i pieczęciami.

Jerzy zapytał mnie:

Czy pozwolisz?

Bardzo cię proszę.

Zabrał się do czytania ośmiu stron zapisanych pismem angielskiem pokoślawionem w różne strony. Czytał powoli z głęboką uwagą, z zainteresowaniem, jakie wkłada się w rzeczy serdecznie nas obchodzące.

Potem położył list na rogu kominka i rzekł:

Proszę cię, oto dziwne zdarzenie, o którym nigdy ci nie opowiadałem, historia trochę sentymentalna, a która mnie się istotnie zdarzyła. — Och! dziwny byłto ów dzień nowego roku, owego nowego roku! Jest temu lat dwadzieścia.... miałem wówczas trzydzieści lat a teraz mam ich pięćdziesiąt.

Byłem inspektorem morskiego towarzystwa asekuracyjnego, które obecnie prowadzę. Zamierzałem spędzić w Paryżu dzień 1-go stycznia jak to jest w zwyczaju, dzień ten uważać za uroczyste święto, kiedy otrzymałem list od dyrektora polecający mi udać się bezzwłocznie na wyspę Ré, gdzie właśnie rozbił się jeden trójmasztowiec ze Saint-Nazaire, asekurowany u nas. Była wtedy ósma godzina rano. Udałem się koło godziny dziesiątej, żeby odebrać instrukcję i tego samego wieczora wsiałem na express, który na drugi dzień wysadził mię w La Rochelle, w dzień 31-go grudnia.

Miałem przed sobą dwie godziny do odejścia łodzi na wyspę Ré. Udałem się na spacer po mieście. Dziwne jest zaprawdę i o wielkim charakterze to miasto La Rochelle, ze swojemi krętemi ulicami jak labirynt, o chodnikach biegnących pod galeryami bez końca, galeryami o arkadach podobnych jak na ulicy Rivoli, tylko niskich, te przytłumione tajemnicze galerye i arkady, które zdają się być sporządzone i pozostałe jakby ozdoba dawnych spiskowców, starożytna i porywająca ozdoba dawnych wojen, tych dzikich, a bohaterkich wojen religijnych.

Jestto stara siedziba hugenocka, poważna, ponura, bez przepychu, nie posiadająca żadnego z tych wspaniałych pomników, które czynią Rouen tak wspaniałem, a zwracającem uwagę swoją surową fizyognomią, miasto zaciekłych wojowników, gdzie rodziły się różne fanatyzmy, miasto

gdzie wybujała wiara kalwinistów i gdzie urodził się spisek czterech sierżantów.

Po niedługim błędzeniu po tych szczególnych ulicach wsiadłem na małą łódź motorową, czarną i brzuchatą, która miała mnie zawieźć na wyspę Ré. Pływała ona, dysząc gniewnie, przeszła pomiędzy dwoma starożytnymi wieżami na wstępie do portu, przekroczyła przystań i wypłynęła z tamy zbudowanej jeszcze przez Richelieu, z której widzieć można głęboko w wodzie olbrzymie kamienie zamykające miasto jakby jakimś naszyjnikiem. Następnie skrzyła łódź na prawo.

Był to jeden z tych smutnych, przygniatających dni, tłumiących myśl, gniotących serce, gaszących w nas wszelką siłę i energię; było dzień szary, mroźny, zanieczyszczony ciężką mgłą, wilgotną jak deszcz, zimną jak mróz, wstrętną do oddechu jak bagniste wyziewy.

Pod tem nakryciem niskiej i złowrogiej mgły, żółte, płytkie i piaszczyste morze tych brzegów bez końca, było gładkie, bez zmarszczki, bez ruchu, bez życia, było morzem wody gęstej, stojącej i mętnej.

Jean-Guiton płynęła po wierzchu, zataczając się nieco z przyzwyczajenia, przecinając tę nieprzeźroczystą i ślizką przestrzeń, pozostawiając za sobą kilka fal, nieco szumu, kilka bałwanów, które nikły po chwili.

Rozpocząłem rozmowę z kapitanem, małym człowiekiem, okrągłym jak jego łódź i podobnie

się kołyszącym. Chciałem się dowiedzieć od niego o paru szczegółach wypadku, który miałem sprawdzać.

Wielki trójmasztowiec Marie-Joseph idący ze Saint-Nazaire, uległ rozbiciu na piaskach wyspy Ré jednej nocy wskutek huraganu.

Burza rzuciła go tak daleko, że było niemożliwym go wyciągnąć i trzeba było copędzej unieść z niego to, co zabrać jeszcze się dało. Rzeczą moją było zatem skonstatować położenie opuszczonego okrętu, ocenić jaki musiał być jego stan przed rozbiciem, osądzić czy wyzyskane zostały wszystkie usiłowania, ażeby go jeszcze sprowadzić na wodę. W danym razie miałem służyć towarzystwu za świadka w ewentualnym procesie. Stosownie do mojego sprawozdania dyrektor miał powziąć odpowiednie postanowienia, co do obrotu naszych interesów.

Kapitan Jean Guiton, — znał doskonale wypadek, wezwany był bowiem także ze swoją łodzią do przedsięwzięcia usiłowań wyratowania statku.

Opowiedział mi ten wypadek, zresztą bardzo zwyczajny. — Statek pędzony wściekłym wiatrem, zgubiwszy kierunek w nocy, płynąc na los szczęścia po wzburzonym morzu, rozbił się na tych niezmiernych ławicach piaskowych, które ciągną się w tych stronach, jak bezbrzeżna Sahara, o małym stanie wody.

Rozmawiając, rozglądałem się przed i naokoło siebie. Pomędzy niebem a oceanem biegła



przestrzeń widzialna daleko. Zbliżyliśmy się do jakiejś ziemi. Zapytałem kapitana:

Czy to jest wyspa Ré?

Tak, proszę pana.

Nagle kapitan wskazał mi wyciągniętą dłonią zaledwie widzialną jakąś rzecz na pełnem morzu i rzekł:

Patrz pan, oto pański okręt.

Marie-Joseph?

Ależ, tak.

Byłem zdumiony. — Ten czarny punkt zaledwie widzialny, który byłbym wziął za kawałek rafy, zdawał mi się odległy najmniej o trzy kilometry od brzegu.

Zagadnałem:

Ależ kapitanie, w miejscu które mi wskazujesz musi być ze sto sążni wody?

On począł się śmiać:

Sto sążni, mój przyjacielu? Ani dwa sążnie, zapewniam pana. My mamy teraz pod sobą, głębokie morze, dziewięć godzin, czterdzieści minut. Może pan iść plażą, ręce w kieszeni, po śniadaniu w hotelu Delfin i zapewniam pana, że za dwie godziny i pół, a za trzy godziny najwyżej, dojdiesz pan do opuszczonego okrętu, suchą nogą, mój przyjacielu i będziesz miał godzinę czterdzieści pięć, — do dwóch godzin zostać tam, ani trochę więcej — inaczej będziesz wzięty. Im prędzej morze się cofa, tem szybciej powraca. Płaskie jest to wybrzeże jak pluskwa. Zabierz się pan w drogę o czwartej pięćdziesiąt, a na siódmą godzinę

i pół, wrócisz na pokład Jean-Guiton i jeszcze tego samego wieczoru wysadzi on cię na wybrzeże La Rochelle.

Podziękowałem kapitanowi i udałem się na przód łodzi i spoglądałem na małe miasteczko Saint-Martin, ku któremu szybko zbliżaliśmy się. Podobne ono było do tych wszystkich miniaturowych portów, które są stolicami wysepek rozsianych wzdłuż stałego lądu. Byłato właściwie wielka wieś rybacka, jedną nogą w morzu a drugą na lądzie, żyjąca rybami i ptactwem, jarzyną i ostrygami, rzodkiewką i ślimakami. Sama wyspa jest niską, mało uprawną, zdawała się atoli być bardzo zaludnioną. Nie zapuściłem się jednak w głąb wyspy.

Po śniadaniu przeszedłem mały przylądek, a że morze opadało gwałtownie szedłem przez piaski w kierunku owej czarnej skały, którą widziałem ponad wodą, tam daleko.

Szedłem prędko po tej żółtej płaszczyźnie, elastycznej jak ciało, które zdawało się pocić pod moimi nogami. Morze przed chwilą było tu jeszcze, teraz widziałem je daleko uciekające w mgnieniu oka, tak że nie rozróżniałem więcej linii dzielącej piasek od oceanu. Zdawało mi się jak gdybym był obecny przy jakimś zjawisku czarodziejskim i gigantycznym. Atlantyk był przedemną jeszcze przed chwilą i znikł potem na piaszczystej płaszczyźnie, a ja szedłem teraz pustynią. Jedyne wrażenia, oddechu słonej wody pozostały naokoło mnie.

Czułem ostry zapach trawy morskiej, zapach fali i łagodny zapach brzegów. Szedłem szybko nie czując już zimna, spoglądałem na opuszczony okręt, który powiększał się w miarę jak się zbliżałem i podobny był teraz do olbrzymiego wieloryba.

Zdawał się wyrastać z ziemi i przybierał wśród tej ogromnej, płaskiej i żółtej przestrzeni nadnaturalną proporcję. Po godzinie drogi doszedłem do niego. Statek leżał na boku, połamany, nieżywy, pokazując tak jak boki bydłęcia swoje potrzaskane kości, swoje kości drewniane, pociągnięte smołą, przebite ogromnymi gwoździami. Piasek już go objął w swoje posiadanie, wszedł we wszystkie jego szczeliny, objął go i trzymał i nie wypuszczał więcej. Zdawało się, że wrósł już w niego. Przód okrętu zarył się głęboko w tej łagodnej a zdradliwej plaży, podczas gdy tył, wzniesiony do góry zdawał się rzucać w stronę nieba, jak krzyk przeraźliwej rozpaczony te dwa białe słowa na czarnem oblamowaniu: Marie-Joseph.

Wydrapałem się ze strony najniższej na tego trupa okrętu, smutnym blaskiem oświetlał te, pewnego rodzaju długie i ciemne piwnice, pełne teraz szczątków wszelakiego drzewa.

Wewnątrz nic już nie było więcej prócz piasku.

Począłem robić notatki co do stanu okrętu. Usiadłem na połamanej i pustej beczce i pisałem

w świetle szerokiej szczeliny, przez którą mogłem spoglądać na bezbrzeżną płaszczyznę wybrzeża. Od czasu do czasu dziwny dreszcz zimna i samotności przebiegł po mojej skórze. Przystawałem czasami pisać i wsłuchiwałem się w tajemniczą i niespokojną mowę opuszczonego okrętu: W szelest krabów wgrzających się wąsatymi mackami w bordiurę okrętu, w szelest tysiąca tych wszystkich małych stworzeń morskich, biorących już w posiadanie tego trupa, w łagodny i regularny szelest skorka, który jak świderk bezustannie toczy drzewo, w szelest pracy tajemnej tych wszystkich cieśli, którzy drażą i pozerają.

Nagle tuż obok siebie posłyszałem jakieś głosy ludzkie. Skoczyłem na nogi, jak wobec jakiegoś zjawiska. Zaprawdę sądziłem przez chwilę, że z głębi dna okrętu zjawią mi się topielce pragnące mi opowiedzieć śmierć swoją. Niedługo wtedy potrzebowałem zaiste czasu do wydrapania się na pomost siłą moich pięści. Spostrzegłem stojącego na przodzie okrętu jakiegoś grubego mężczyznę z trzema młodemi dziewczętami, a raczej jednego wielkiego anglika z trzema misses.

Zapewne oni jeszcze bardziej przestraszyli się widząc zjawiającą się nagle istotę na tym opuszczonym trójmasztowcu. Najmłodsza z panienek uciekła, dwie drugie chwyciły się ojca obiema rękami, on zaś otworzył usta, co było jedynym znakiem po którym można było poznać jego wzruszenie.

Wreszcie po kilku sekundach przemówił:

Eh! Panie, jesteś właścicielem tego okrętu?

Tak panie.

A czy mogę go zwiedzić?

Tak panie.

Wypowiedział wtedy długie zdanie po angielsku, w którym odróżniłem tylko słowo „gracions“ powtórzone kilka razy.

Widząc, że próbuje się wydrapać na pomost pokazałem mu najlepsze miejsce i podałem rękę. Wyszedł, poczem obaj pomagaliśmy trzem pannom już uspokojonym. Wszystkie trzy były bardzo miłe, szczególnie najstarsza, blondynka lat ośmnastu, świeża jak kwiat i tak cieniutka, tak delikatna! W istocie piękne angielski mają wygląd łagodnych zamorskich owoców. Rzekłbyś że ta wyłoniła się z piasku i że włosy jej zachowały jeszcze jego odcień. Ich wspaniała świeżość, naprowadza na myśl te różowe muszle o delikatnych kolorach i te perły blado opalone, rzadkie, tajemnicze, poczęte w głębokościach nieznanых oceanów.

Ona mówiła nieco lepiej jak jej ojciec i służyła nam za tłumacza. Musiałem opowiedzieć im o rozbiciu, z najmniejszymi szczegółami, które wymyślałem, tak jakbym sam był obecnym przy tej katastrofie. Następnie cała familia weszła do wnętrza. Skoro tylko dostali się do tej ciemnej galeryi, zaledwie oświetlonej, nie mogli powstrzymać się od okrzyków podziwu i zachwytu. Na-

gle ojciec i trzy córki trzymali już w rękach albumy ukryte zapewne w ich wielkich nieprzemakalnych ubraniach i równocześnie zaczęli cztery szkice tego smutnego, a dziwnego miejsca. Usiedli obok siebie na brudnej belce i cztery albumy na ośmiu kolanach pokrywały się małymi czarnymi kreskami mającymi przedstawiać na wpół otwarte wnętrze Marie-Joseph.

Podczas tej pracy najstarsza z panien rozmawiała ze mną, ja zaś w dalszym ciągu sprawdzałem szkielec okrętu.

Dowiedziałem się, że zimę spędzili w Biarritz i że umyślnie przybyli na wyspę Ré, ażeby zobaczyć ten ugrząźnięty trójmasztowiec. Nie miały w sobie nic z tej pychy angielskiej, były skromne, nie wymuszone, jedne z tych wiecznych podróźniczek, któremi Anglia zasypuje świat cały. Ojciec, długi, suchy, o twarzy czerwonej, otoczonej białymi faworytami, prawdziwy żyjący Sandwich, kawałek szynki przyciętej na kształt głowy ludzkiej, pomiędzy dwoma materacykami sierści; córki, na wysokich nogach jak na szczytach, suche także, z wyjątkiem najstarszej, miłe wszystkie trzy, a najbardziej największa. Miała tak dziwny sposób mówienia, śmiania się, opowiadania, rozumienia i nierozumienia, podnoszenia pytań oczów błękitnych jak głęboka woda, przedstawiania rysować, ażeby odgadywać, zabierania się z powrotem do pracy, mówienia „yes“ albo „no“, że byłbym nie wiem jak długo pozostawał, ażebym mógł ją słyszeć i na nią patrzeć.

Nagle ona wyszeptwała:

Czuję jakiś mały ruch na tym okręcie.

Wyteżyłem słuch i rozróżniłem natychmiast lekki, niezwyčajny a bezustanny szum. Cóżby to było? Podniosłem się, spojrzałem przez szczelinę i gwałtownie krzyknąłem. — Morze nas dosięgło i otaczało nas.

W jednej chwili znaleźliśmy się na pokładzie, Było już zapóźno! Woda nas oblewała i biegła ku brzegom z nadzwyczajną szybkością. Nie, to nie biegło, to się czołgało, ślizgało, rozciągało, jak bezbrzeżna plama. Zaledwie kilka centymetrów wody nakrywało piasek, ale już niewidzialną była mknąca linia niedostrzegalnej fali.

Anglik chciał się rzucić naprzód, lecz go powstrzymałem. Ucieczka była niemożliwą z powodu głębokich kałuż, a które w powrocie musielibyśmy napotkać, ryzykując wpadnięcie.

Straszną była ta chwila, owej krótkiej obawy. Potem mała angielfka poczęła się śmiać i zawołała:

Oto teraz my jesteśmy rozbitkami!

Chciałem się śmiać, ale strach ścisnął mi gardło, ów wstrętny, niski strach, zdradliwy jak owa fala. Wszelkie możliwe niebezpieczeństwa jakie nam groziły, przyszły mi na myśl równocześnie. Miałem chęć wołać: Na pomoc! Do kogo?

Dwie małe angielfki przytuliły się do ojca, który przerażonym wzrokiem spoglądał na nieskończone morze naokoło nas.

Noc zapadała tak szybko jak wzbierający ocean, noc ciężka, wilgotna i mroźna....

Odezwałem się:

Nie mamy nic innego do zrobienia jak pozostać na tym statku.

Anglik odpowiedział:

Och! Yes!

I staliśmy tam kwadrans, pół godziny, sam nie wiem jak długo i spoglądaliśmy na tę żółtą wodę, która roztaczała się naokoło nas, kłębiła, zdawała gotować się, zdawała cieszyć się z odzyskania tego niezmiernego wybrzeża.

Jedna z panien poczęła się skarżyć na zimno i przyszła nam myśl zejścia napowrót w głąb okrętu, ażeby się schronić przed lekkim lecz mroźnym wiatrem, który przejmował nas do kości.

Nachyliłem się ponad zejściem. Okręt był pełen wody. Musieliśmy zatem wtulić się za burłę tylnią, która nas zabezpieczała nieco od wiatru.

Otaczały nas teraz ciemności, myśmy zaś siedzieli przyciśnięci jedni do drugich, objęci cieniem i wodą. Poczułem, że obok mojego ramienia drży ramię młodej angielfki i że zęby jej dzwonią od czasu do czasu. Czułem jednak równocześnie miłe ciepło jej ciała poprzez ubranie, a ciepło to było dla mnie rozkosznem jak pocałunek. Nie rozmawialiśmy wcale. Pozostawaliśmy nieruchomi, niemi, skuleni jak zwierzęta w rowie w czasie huraganu. A przecież mimo wszystko, mimo nocy, mimo straszego i rosną-



cego niebezpieczeństwa, poczynalem się czuć szczęśliwym tam, szczęśliwy tem zimnem i niebezpieczeństwem, szczęśliwy temi długimi godzinami nocy i niepokoju, spędzanemi na tej belce tak blisko tej pięknej i delikatnej dziewczyny.

Sam siebie zapytywałem skąd pochodziło to dziwne wrażenie zadowolenia i przejmującej mnie radości.

Dlaczego? Czyż można wiedzieć? Dlatego że była tam ona? Co za ona? Mała nieznajoma anielka? Nie kochałem jej, nie znałem jej wcale, a czułem się wzruszonym, porwanym! Chciałbym ją ocalić, poświęcić się dla niej, tysiąc szaleństw popełnić! — Dziwna rzecz! Skąd to pochodzi że obecność jednej kobiety wzrusza nas w ten sposób! Czy to potęga jej wdzięku nas ogarnia? Czy urok piękności i młodości upaja nas jak wino? Czy to raczej nie jest pewnego rodzaju czucie miłości, tajemniczej miłości, która stara się bezustannie łączyć stworzenia, która próbuje swojej potęgi, skoro tylko kobieta stanie przed mężczyzną, która napawa ich wzruszeniem, wzruszeniem niejasnem, głębokiem i sekretnem, tak jak zrasza się ziemię ażeby rosły na niej kwiaty.

Tymczasem milczenie ciemności stawało się przerażające. Dookoła nas słyszeliśmy niespokojny, bezustanny, lekki szum, głuchy ruch morza wznoszącego się i monotonne chlupotanie przyplwu o boki okrętu.

Nagle posłyszałem łkanie. Najmniejsza z angielek płakała. Jej ojciec chciał ją pocieszyć i

poczęły rozmawiać w swoim języku, którego nie rozumiałem.

Odgadywałem że stara się ją uspokoić i że ona ciągle się boi.

Zapytałem mojej sąsiadki:

Czy pani nie zimno?

Oh! tak, bardzo mi zimno.

Chciałem dać jej mój płaszcz, lecz ona odmówiła, zdjąłem go jednak i okryłem ją nim, wbrew jej woli. W tej krótkiej walce spotkałem jej rękę co wywołało u mnie rozkoszne drżenie po całym ciele.

Od kilku minut, wiatr stał się gwałtowniejszym, a uderzanie wody o boki okrętu silniejsze. Podniosłem się; silny powiew przebiegł mi po twarzy. Wiatr się wzmagał!

Anglik, spostrzegł to równocześnie ze mną i rzekł prostodusznie:

Jestto niedobrze dla nas, to . . . .

Istotnie położenie nasze było krytyczne. Groziła nam pewna śmierć jeśliby fale, nawet słabe fale, poczęły atakować i wstrząsać okrętem już i tak rozbitym i rozpadającym się. Pierwsza silniejsza fala mogła go potrzaskać na miazgę.

Obawa nasza wzrastała też co chwilę razem ze wzmagającą się siłą wiatru. Teraz już morze wzburzało się trochę i widziałem w ciemnościach białe linie piany, które to się zjawiały, to nikły, każdy przyptyw wiatru zaś wstrząsał szkieletem Marie-Joseph, wywoływał krótkie drżenie całej

go okrętu, odczuwane przez nas ze ściśnięciem serca.

Angielka drżała, czułem jak się trzęsła obok mnie, mnie zaś porywała szalona chęć chwycenia ją w swoje ramiona.

Tam, daleko, przed nami, na lewo, na prawo, z tyłu za nami błyszcząły latarnie na brzegach o kolorach białych, żółtych, czerwonych, zmieniających się, podobne do ogromnych oczu, oczów olbrzyma, które na nas patrzyły, nas śledziły, oczekując chciwie naszej zagłady. Jedna z nich przedewszystkiem mnie irytowała. Gasła co trzydzieści sekund i natychmiast rozpalala się nanowo.

Od czasu do czasu Anglik pocierał zapałkę i sprawdzał godzinę, następnie wkładał zegarek z powrotem do swojej kieszeni. Wśród tego nagle odezwał się do mnie ponad głowami swych córek z wielką powagą:

Życzę panu Nowego Roku.

Była północ. Wyciągnąłem do niego mą rękę, którą uściśnął, zwrócił się następnie i powiedział po angielsku kilka słów do córek, zaraz też on i one rozpoczęły śpiewać „God save the Oueen“. Śpiew rozlegał się w czarnej milczącej przestrzeni i niknął.

Miałem najpierw ochotę śmiać się, później jednak porwało mnie potężne, dziwne wzburzenie.

Byłoto tak coś niezwykłego a wspaniałego, ten śpiew tych rozbitków, tych skazańców, coś

w rodzaju modlitwy, a zarazem coś tak wielkiego, co można porównać ze starożytnem a wzniosłem: Ave, Caesar, morituri te salutant!

Gdy skończyli, poprosiłem moją sąsiadkę, żeby teraz ona sama zaśpiewała jaką balladę, lub jaką opowieść, zresztą co chce, bylebyśmy mogli zapomnieć o naszych obawach. Zgodziła się i zaraz jej jasny i młody głos zabrzmiał wśród nocy. Spiewała zapewne coś smutnego bo dźwięki ciągnęły się długo, wychodziły powoli z jej ust i trzepotały się jak zranione ptaki, ponad falami.

Morze wzbierało i biło silnie w skorupę okrętu, ja jednak nie myślałem, jak tylko o tym głosie. Mimowoli przyszły mi na myśl syreny. Coby powiedzieli marynarze, gdyby w tej chwili przepływali na barce blisko nas? Umysł mój zmęczony, począł marzyć. Syrena! Czyż istotnie nie była syreną, ta dziewczyna morza, która zatrzymała mię na tym robaczywym okręcie, mogącym lada chwila być pochłoniętym przez fale.

Nagle wszyscy pięcioro stoczyliśmy się gwałtownie na pokład. Marie-Joseph przechylił się nagle na prawy bok. Angielka upadła na mnie, ja ją chwyciłem w moje ramiona i szalenie, bezświadcem, nie zdając sobie sprawy co czynię, sądząc że nadeszła ostatnia moja chwila, całowałem jej usta, oczy i włosy. Okręt więcej nie poruszył się, a my również nie ruszaliśmy się wcale.

Anglik zawołał: Kate! Ta którą trzymałem w objęciach, odrzekła „Yes“ i zrobiła ruch, aże-

by się odemnie uwolnić. Zaprawdę wołałbym w tej chwili iżby okręt rozpadł się na dwoje w otchłań morską, razem z nią i ze mną.

Anglik znowu przemówił:

Eh, to nie było nic, mała huśtawka. Ocalały na szczęście moje córki.

Nie widząc bowiem najstarszej, sądził z początku, że ją stracił.

Powoli podniosłem się i nagle spostrzegłem tuż blisko nas jakieś światło na morzu. Zawolałem, odpowiedziano mi. Była to barka, którą gospodarz hotelu wysłał na nasze poszukiwania przewidując naszą nieroztropność.

Byliśmy ocaleni. Ja jednak byłem zrozpaczony. Zabrano nas i odwieziono do Saint-Martin.

Anglik z radości klaskał w ręce wołając: Urządźmy sobie teraz dobrą kolację!

Istotnie zjedliśmy dobrą kolację. Ja nie byłem wesołym, żałowałem Marie-Joseph!

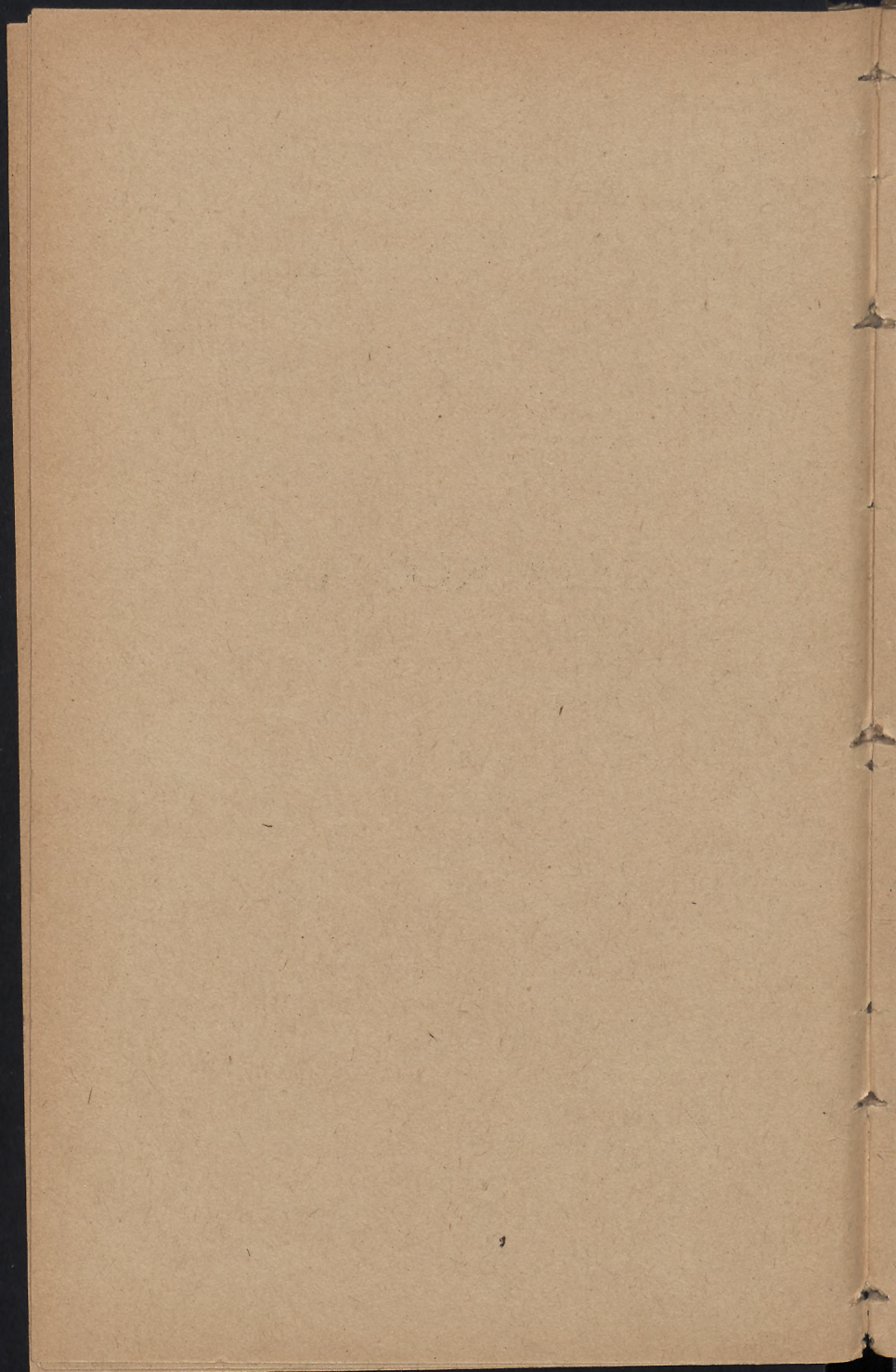
Nazajutrz po wielu uściskach dłoni i obietnicach pisywania do siebie, trzeba się było rozłączyć. Oni pojechali do Biarritz. Mało brakowało, a byłbym za nimi pojechał. Byłem jak ogłupiały, chciałem oświadczyć się o tę małą dziewczynę. Zapewne, gdybyśmy byli jeszcze ośm dni razem spędzili ze sobą, byłbym się z nią ożenił. Jako często jest się słabym i samemu sobie niepojętym.

Przez dwa lata nic nie słyszałem o nich. Potem otrzymałem list z Nowego Yorku. Donosi-

ła mi, że jest zameżną. I od tego czasu pisujemy do siebie każdego roku na dzień 1-go stycznia. Ona mi opisuje swoje życie, opowiada mi o swoich dzieciach, siostrach, — nigdy o swoim mężu. Dlaczego? Ach, dlaczego?... Ja zaś nie piszę do niej o niczem innem, jak tylko o Marie-Joseph. Jestto może jedyna kobieta, którą kochałem.... nie.... którą byłbym pokochał.... Ach, zresztą czyż można wiedzieć? Wypadki nas porywają... a potem.... potem.... wszystko przechodzi. Musi być już starą, terazbym jej nawet nie poznał. — Ach! ach ta, z tego czasu.... ta z tego rozbitego okrętu... co za istota... boska.... Pisze mi, że włosy jej są już całkiem siwe..... Mój Boże! Przykro mi to bardzo... Jej jasne włosy! — Nie, ta moja już więcej nie istnieje. Ach, jakie to smutne.... to wszystko.....



**CIOCIA KLOCIA.**





## CIOCIA KLOCIA.

Dziwne są te dawne wspomnienia, które tkwią w was i prześladują tak że się ich pozbyć nie można.

To, o którym chcę mówić jest bardzo dawne, że sam nie rozumiem że utrzymało się tak żywym i wyraźnym w mojej pamięci. Widziałem już potem tyle dziwnych, wzruszających i strasznych rzeczy, że sam się dziwię że ani dnia jednego nie miałem bez tego iżby nie przypomniła mi się postać cioci Kloci, takiej, jaką ją znałem dawniej, w tych czasach kiedy miałem dziecięć albo dwanaście lat.

Była to stara szwaczka, która raz w tygodniu każdego wtorku przychodziła naprawiać bieliznę u moich rodziców. Rodzice moi zajmowali na wsi jedno z tych mieszkań nazywanych szumnie pałacem, a które należą do tych prostych, starych domów o szpiczastym dachu otoczonych czterema albo pięcioma oficynami.

Miasteczko to, dość duże miasteczko leżało o kilkaset metrów od kościoła zbudowanego z ce-

gieł czerwonych, a poczerniałych z czasem.

Zatem w każdy wtorek ciocia Klocia zjawiała się między szóstą a siódmą rano i natychmiast znikwała w garderobie.

Była wysoka, chuda kobieta, z brodą obrosłą, a raczej kosmatą, miała bowiem na całej twarzy zadziwiający zarost rozrzucony kępkami po tem wielkiem obliczu żandarma w spódnicy. Miała je na nosie, pod nosem, naokoło nosa, na brodzie, policzkach i podbródku, zaś brwi jej nadzwyczajnej gęstości i długości, siwe całkiem, skłębione i najeżone, miały raczej wygląd pary wąsów przez omyłkę tam umieszczonych.

Przytem kulą, ale nie tak jak kuleją zwyczajni kalecy, lecz jak okręt na kotwicy. Kiedy robiła krok na swojej dobrej nodze, koścista jej postać zdawała się brać zamach jak do wydobycia się na ogromną fale, potem nagle spływała jakby miała zniknąć w przepaści, w ziemi się zagłębić. Chód jej obudzał wspomnienie burzy. Podczas tego głowa jej ubrana zawsze w ogromny biały czepek od którego wstążki z tyłu powiewały, zdawała się kroczyć po horyzoncie z północy na południe i z południa na północ, za każdym jej poruszeniem.

Uwielbiano wprost ciocię Klocię. Zaledwie wstałem, spieszyłem do garderoby gdzie zastałem już ją zajęta szyciem, z nogami opartymi na stołeczku. Jak tylko przyszedłem, zmuszała mnie usiąść na stołeczku przy jej nogach aże-

bym się nie zaziębił w tym pustym, zimnym pokoju, umieszczonym na poddaszu.

Opowiadała mi historyjki, przeciągając bieleżnę swymi zeszytyniałymi palcami. — Jej wielkie osłabione oczy z poza powiększających okularów wydawały mi się ogromne, głębokie, podwójne.

Wedle tego co mi opowiadała i co do głębi poruszało moje dziecięce serce, miała ona, ta biedna kobieta, wzniosłą duszę.

Zapatrywania jej na świat i życie były proste i uczciwe. Opowiadała mi zdarzenia miasteczkowe, historyjkę o krowie która uciekła ze stajni i którą znaleziono jednego dnia przed młynem Rospera Malet, stojącą i gapiącą się na obracające się koła, albo historię o kurzem jaju odkrytem na dzwonnicy, które w sposób niewytłumaczony tam się znalazło, nigdy bowiem nie widziano żadnego stworzenia któreby je tam znieść mogło, albo historię o psie Jana Pilasa który o dziesięć mil od miasteczka odebrał spodnie swojego pana skradzione przez jakiegoś wagabundę z płotu na którym się suszyły. Opowiadała mi te naiwne historyjki w sposób taki, że nabierały one w moim młodym umyśle rozmiary niezapomnianych dramatów, wielkich i tajemniczych poematów; wspaniałe zaś i wymyślone przez poetów opowiadki które wieczorami opowiadała mi matka nie miały wcale tego powabu tej rozciągłości i tej potęgi, jak te skromne opowiadania wieśniaczki.

Otóż jednego wtorku, gdy cały ranek spędziłem na słuchaniu opowieści ciotki Kłoci, zamierzyłem popołudniu pójść znowu zobaczyć ciotkę Kłocię i pochwalić się przed nią nazbieranymi razem ze służącym orzechami w lesie poza fermą Noirpré

Pamiętam to wszystko tak dokładnie jakby to wczoraj się stało.

Otworzywszy atoli drzwi od garderoby spostrzegłem starą szwaczkę leżącą na ziemi obok jej stołka, twarzą do ziemi, ręce rozłożone, w jednej trzymającą jeszcze igłę, koszulę w drugiej. Jedna z jej nóg w niebieskiej pończosze, wyciągnięta była pod stołkiem, okulary zaś błyszcząły pod ścianą, potoczywszy się daleko od niej. Uciekłem z przeraźliwym krzykiem. Wszyscy się zbiegli i po chwili dowiedziałem się że ciocia Kłocia nie żyje.

Nie potrafię opisać mojej głębokiej, wzruszającej i strasznej boleści, która ścisnęła moje dziecięce serce. Wolnym krokiem zszedłem do salonu i ukryłem się w ciemnym kącie, w głębi wielkiej i starodawnej niszy, gdzie uklękawszy rzewnie płakałem. Niewątpliwie, długo to trwało bo noc nadeszła.

Nagle zaświecono w salonie, mnie jednak nie zauważono, ja zaś posłyszałem że mój ojciec i matka rozmawiają z lekarzem którego poznałem po głosie.

Wkrótce bowiem posłano po niego i właśnie on wyjaśniał przyczyny tego wypadku. Ja zre-

szta nic z tego wtedy nie rozumiałem. Potem on usiadł i napił się kieliszek likieru z biszkoptem.

To co on opowiadał potem pozostało mi i pozostanie na zawsze głęboko zachowane w pamięci. Sądzę że potrafię nawet użyć tych samych wyrażeń dla oddania tego co mówił.

Ach! opowiadał doktor, ta biedna kobieta była tutaj moją pierwszą klientką. Złamała nogę w dzień mojego przybycia, a ja nie miałem nawet czasu rąk umyć sobie po wyjściu z dyliżansu, kiedy przybiegnięto po mnie w pośpiechu, gdyż było ciężki, bardzo ciężki wypadek.

Miała wtedy lat siedmnaście i była bardzo piękną dziewczyną, bardzo piękną, bardzo piękną. Czyż możnaby uwierzyć?

Nie opowiadałem nigdy nikomu tej historii i oprócz mnie i jeszcze jednego, nikt nie zna tej historii. Obecnie skoro już nie żyje mogę być mniej dyskretnym.

W owym czasie zamieszkał w miasteczku młody pomocnik nauczyciela, który miał zgrabną postać i powierzchowność, coś w rodzaju podoficera. Wszystkie dziewczęta biegały za nim, on zaś zachowywał się pogardliwie, obawiając się zresztą dyrektora szkoły i przełożonego, ojca Grabu, który nie zawsze bywał w dobrym humorze.

Ojciec Grabu już wtedy używał za szwaczkę piękną Hortenzyę — która właśnie umarła u państwa, a którą po owym wypadku przezwano Klo-

cią. Pomocnik nauczyciela począł wyróżniać tę piękną dziewczynę, której znowu pochlebiali to wyróżnianie ze strony tego niezdożytego pogromcy serc niewieścich.

Otóż stało się że pokochała go i on uzyskał od niej raz pierwsze rendez-vous w stodole szkoły, wieczorem, po skończonej jej pracy.

Ona udając że wraca do siebie, nie zeszła atoli ze schodów wychodząc od państwa Grabu, lecz wyszła i schowała się w sianie w oczekiwaniu swego kochanka. On wkrótce tam nadszedł i począł jej prawić swoje czułości, gdy nagle wrota od stodoły otwarły się znowu, i zjawił się w nich dyrektor szkoły pytając:

Panie Zygisbercie, co pan tam robi na górze?

Młody nauczyciel, czując się złapanym — przerażony, głupio odpowiedział:

Wyszedłem panie Grabu ażeby nieco wypocząć na sianie.

Stodoła ta była bardzo wielką, szeroką, zupełnie ciemną, więc Zygisbert w głąb jej popychał przerażoną dziewczynę, powtarzając: Idź tam, schowaj się, gotówem stracić przez ciebie moje miejsce, schowaj się, uciekaj!

Dyrektor słysząc te szeptu zapytał:

To pan tam sam nie jesteś?

Ale tak panie Grabu.

Ależ nie, bo pan rozmawiasz.

Przysięgam panu że tak, panie Grabu.

Zaraz się sam o tem przekonam, odrzekł sta-

ry nudziasz, i zamknąwszy drzwi na dwa spusty zeszedł po świecę.

Młody człowiek, tchórz jakich dość na świecie, stracił głowę i jak się zdaje wpadłszy nagle w wściekłość, wołał ciągle na nią:

Schowajże się gdzie przecież, żeby cię nie znalazł. Przez ciebie stracę chleb na całe życie! Przez ciebie na nic cała moja karyera! Schowajże się gdzie przecież!...

Dał się słyszeć odgłos klucza obracanego w zamku.

Hortenzya pobiegła do okienka w dachu wychodzącego na ulicę, otworzyła je nagle i głosem cichym, lecz stanowczym:

Przyjdiesz mnie podnieść, jak on odejdzie, rzekła.

I wyskoczyła.

Ojciec Grabu, nie znalazł nikogo i zeszedł mocno zdziwiony.

W kwadrans potem ów pan Zygisbert, przybiegł do mnie i opowiedział mi tę całą historję. Młoda dziewczyna leżała pod murem, niezdolna podnieść się nawet, spadłszy z wysokości dwóch piąter. Pobiegłem z nim razem do niej. Deszcz lał jak z cebra, zaniósłem przeto nieszczęśliwą dziewczynę do siebie i skonstatowałem złamanie prawej nogi w trzech miejscach, tak, że nawet kości przebiły ciało. Ona nie skarżyła się nawet i powtarzała tylko z dziwną rezygnacyą: Jestem ukarana, jestem dobrze ukarana.

Zarządziłem co trzeba było, dałem znać jej rodzicom, którym opowiedziałem bajkę o rozpedzonym powozie, który się przewrócił i przejechał rzekomo przed moim domem.

Uwierzono mi, żandarmerya zaś napróżno przez miesiąc potem, szukała sprawcy tego wypadku.

Oto wszystko, słusznie powiadam, że kobieta ta była bohaterką, z rodzaju tych, które spełniły najbardziej bohaterski, czyn historyczny.

Była jej jedyna miłość. Umarła dziewicą. Była prawdziwa męczenniczka, wielka i pełna poświęcenia dusza. Gdybym jej nie podziwiał, nie opowiadałbym państwu tej historyi, której zresztą nikomu nie opowiedziałem, dotąd nikomu, póki żyła, z łatwo zrozumiałych powodów.

Lekarz zamilkł, — Matka moja płakała. — Ojciec mój wypowiedział kilka jakichś słów, których nie pamiętam, potem wyszli.

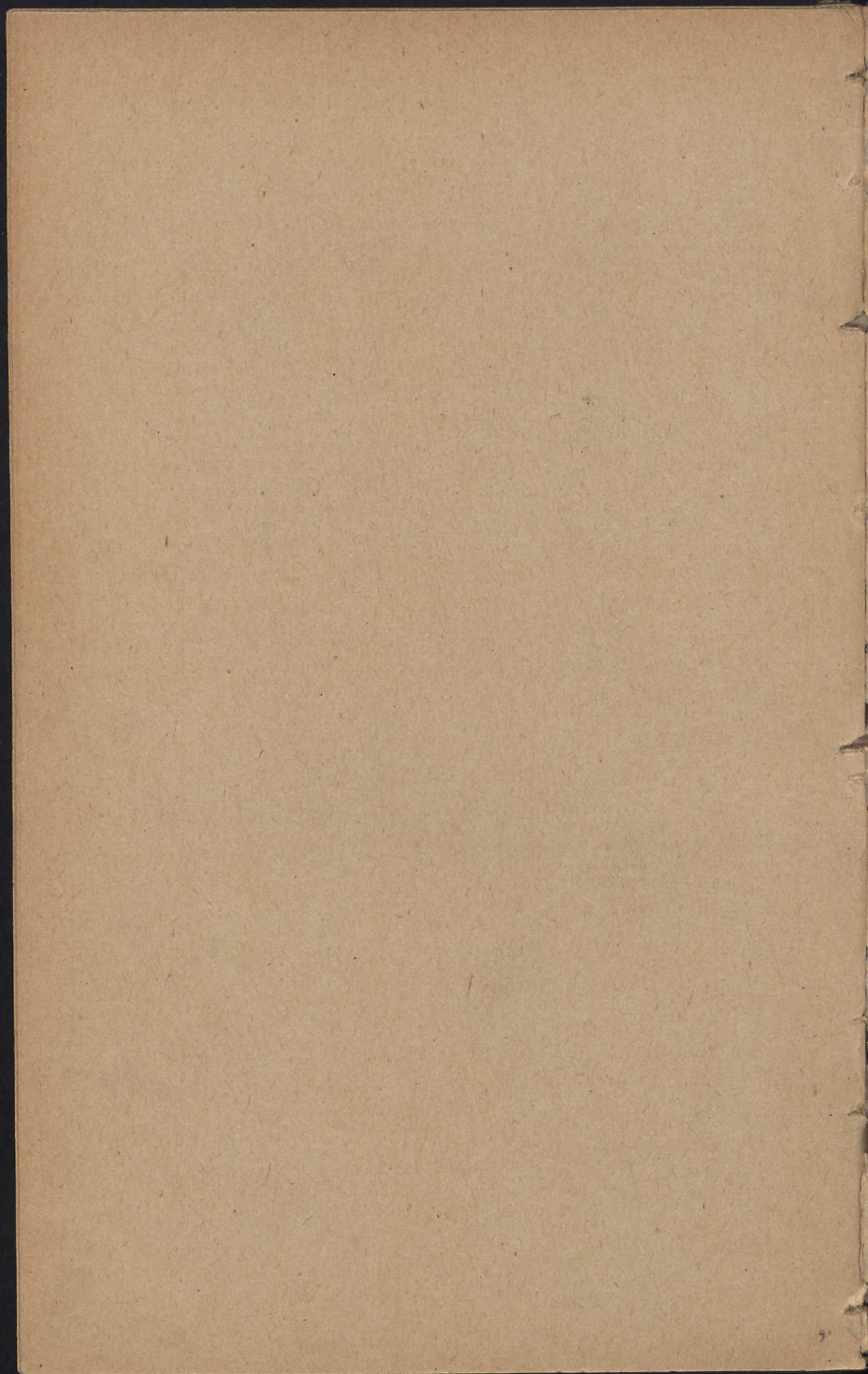
Ja zaś zostałem na klęczkach w mojej niszy, łkając. Po chwili posłyszałem dziwny odgłos ciężkich kroków na schodach.

To znoszono zwłoki cioci Kłoci.....





**WIECZÓR  
TRZECH KRÓLI.**



## WIECZÓR TRZECH KRÓLI.

Przypominam sobie dobrze, rzekł kapitan hrabia de Garens, ową kolację w dzień Trzech Króli, w czasie wojny!

Byłem wtedy marszałkiem huzarów i od dwóch tygodni włączyłem się w celach wywiadowczych przed frontem dywizji niemieckiej. Dzień przedtem, posiekaliśmy kilka ułanów i straciliśmy trzech z naszych ludzi, między nimi tego biednego Raudeville. Przypominacie go sobie zapewne, Józef de Raudeville.

Otóż tego dnia, kapitan mój wydał mi rozkaz zabrania dziesięciu kawalerzystów, zajęcia i pilnowania całą noc wioski de Porterin, gdzie bito się pięć razy w ciągu trzech tygodni. W tem gnieździe os, nie było wówczas ani dwudziestu domów całych, ani dwunastu mieszkańców przy życiu.

Wziąłem z sobą dziesięciu kawalerzystów i koło czwartej uudałem się w drogę. O piątej rano, wśród głębokiej nocy, dostaliśmy się do pierwszych domów wioski. Zatrzymałem oddział i poleciłem Marchas, znać dobrze Piotra de Mar-

chas, który ożenił się następnie z małą Martel Aurelin, córką markiza de Martel-Aurelin, ażeby udał się sam do wioski i zebrał wiadomości.

Powybierałem tylko wolontarjuszy, wszystkich z dobrej rodziny. Niema nic nieprzyjemniejszego jak stykać się w służbie z prostakami. Ten Marchas był chytry jak mało kto, przebiegły jak lis, a giętki jak wąż. Potrafił zwietrzyć Prusaków, jak pies zająca, wynaleść żywność tam, gdziebyśmy z głodu pomarli bez niego, wydobywał wiadomości ze wszystkiego, wiadomości zawsze pewne, z nieprawdopodobną zręcznością.

Po dziesięciu minutach wrócił.

— Wszystko dobrze, rzekł; od trzech dni nie przeszedł tędy ani jeden prusak. Nieszczęsną jest ta wioska. Rozmawiałem z zakonnica, która pielęgnuje czterech, czy pięciu chorych w opuszczonym klasztorze.

Wydałem rozkaz do posunięcia się naprzód i wjechaliśmy w główną ulicę. Na prawo i lewo widać było mury bez dachów zaledwie widoczne wśród ciemnej nocy. To tu, to tam, błyszczało światło za szybami; widocznie została jakaś rodzina, ażeby pilnować swego domu, nawpół rozburzonego, rodzina dzielnych ludzi, albo biedaków. Deszcz zaczął padać, deszcz drobny, mroźny, od którego marzliśmy jeszcze przed zmożnięciem. Konie potykały się o kamienie, o belki, o sprzety. Marchas prowadził nas, pieszo idąc przed nami i prowadząc swego konia za uzdę.

— Gdzież ty nas prowadzisz? zapytałem go.

Odrzekł:

— Znalazłem dobre schronienie.

Wkrótce zatrzymał się przed małym mieszczkańskim domkiem, stojącym przy ulicy, z ogrodem od tyłu.

Wielkim kamieniem, podniesionym z ulicy rozbił zamek, przeszedł podwórze, wywalił drzwi kopnięciem, zapalił świeczkę, której kawałek miał zawsze przy sobie i wprowadził nas do wygodnego, z komfortem i bogato urządzonego mieszkania, z taką podziwiania godną swobodą, jak gdyby długi czas przeżył w tym domu, który widział poraz pierwszy.

Dwóch ludzi przy koniach zostało przed domem.

Marchas zawołał do grubego Ponderel, który szedł za nim:

— Stajnie muszą być na lewo, spostrzegłem to wchodząc, idź i ulokuj tam konie, które nie będą nam potrzebne.

Potem zwracając się do mnie:

— Wydaj rozkazy, do pioruna!

Zadziwił mnie zawsze ten wesoły chłopak. Śmiejąc się odrzekłem:

— Pójdę rozstawić placówki na kraju wsi. Zastanę cię tu jak wrócę.

— Ilu weźmiesz ludzi? zapytał.

— Pięciu. Drudzy zmieniają ich o godzinie dziesiątej wieczór.

— Dobrze. Zostaw mi czterech dla zgromadzenia żywności, do kuchni i przygotowania stołu. Ja będę się starał odnaleźć schowek z winem.

Udałem się, ażeby zbadać puste ulice pro-

wadzące na koniec wsi, ku równinie, by tam ustawić placówki.

Po pół godzinie byłem z powrotem. Zastanem Marchas rozciągniętego na wielkim fotelu Voltaire, z którego zdjął pokrowiec, jak mówił, z zamięłowania do zbytku. Grzał sobie nogi przy ogniu, paląc doskonałe cygaro, którego zapach rozchodził się po pokoju. Siedział sam, z łokciami opartymi na poręczach krzesła, z głową w tył przechyloną, z miną zachwyconą, oczy błyszczące, policzki zaróżowione. Ze sąsiedniego pokoju dochodził brzęk talerzy.

Marchas, uśmiechając się błogo, odezwał się:

— Idzie wcale dobrze; znalazłem Bordeaux w kurniku, szampan pod schodami, wódkę — pięćdziesiąt butelek, prawdziwej wódki — w sadzie pod gruszką, która przy świetle latarni, wydała mi się, że nie stoi prosto. Jako coś stałego mamy dwie kury, gęś, kaczkę, trzy gołębie i jednego kosa, złapanego w klatce. Jak widzisz, sam drób! Wszystko to właśnie się piecze. Przecież kraj ten jest wspaniałym!

Usiadłem naprzeciwko niego; płomień z kominika palił mnie w nos i w policzki.

— Skąd wydobyłeś to drzewo na ogień? zapytałem.

Wspaniałe drzewo! zawołał, to powóz porąbaliśmy. Ten silny płomień pochodzi z pokostu. Doskonała mieszanka lakieru. Jaki to zamóżny dom!

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, tak śmieszne wydawało mi się to bydlę. Zaczął znowu:

— I to dziś właśnie Trzech Króli! Kazałem włożyć do gęsi bobu; niema jednak królowej! Głupio!

Powtórzyłem zanim jak echo:

— Głupio! Ale cóż mogę na to poradzić?

— Trzeba żebyś coś znalazł, parbleu!

— Co mam znaleźć?

— Kobiety.

— Kobiety? Czyś oszalał?

— Ja znalazłem wódkę pod gruszką, szampana pod schodami, chociaż mnie nikt nie prowadził. Spódniczka zaś jest pewnym dla ciebie drogowskazem. Poszukaj, mój stary.

Mówił to tonem tak poważnym, seryo i przekonywającym, że nie wiedziałem, czy żartuje.

Odrzekłem:

— No, no, Marchas, tylko nie blaguj!

— Ja nigdy w służbie nie blaguję.

— Ale skądże do dyabła chcesz, żebym wynalazł kobiety?

— Skąd chcesz. Musiały zostać dwie, albo trzy we wsi. Wytrop i przyprowadź.

Wstałem z krzesła. Było mi za gorąco przed tym ogniem. Marchas zapytał:

— Podać ci myśl jedną?

— Dobrze.

— Dowiedz się o proboszcza.

— O proboszcza? Po co?

— Zaproś go na kolację i poproś, żeby przyprowadził kobietę.

— Proboszcz! Kobietę! Ach! Ach!

Marchas, z nadzwyczajną jednak powagą, mówił dalej:

— Ja się z tego nie śmieję. Poszukaj proboszcza i przedstaw mu nasze położenie. Zapewne nudzi się wściekle, to przyjdzie, powiedz mu jednak, że musimy mieć przynajmniej jedną kobietę, kobietę *comme il faut*, rozumie się, jesteśmy bowiem wszyscy chłopcy zacnego rodu. Powinien znać na palcach swoje parafianki. Jeśli jest między niemi jaka możliwa dla nas, a dobrze weźmiesz się do tej sprawy, z pewnością ci nie odmówi.

— O czem ty właściwie myślisz Marchas?

— Mój drogi Garens, ty potrafiś dobrze się z tym załatwić. Będzie to nawet bardzo zabawne. Umiemy żyć, do kroćset! Będzie to oznaką wielkiej dystynkcyi, nadzwyczajnego szyku. Wymień nasze nazwiska proboszczowi, pobudź go do śmiechu, rozczul, oblaguj go, byleś go zdecydował!

— Nie, to niemożliwe.

Przybliżył swój fotel, a że znał ten urwisz moje słabe strony, zaczął na nowo:

— Pomyśl sam co to będzie za doskonały kawał, co za zabawna rzecz do opowiadania. W całej armii będą mówili o tem. Zrobi ci to niebywałą reputacyę.

Wahałem się, kusilo mię jednak do tej awantury. On dalej nalegał:

— No, a zatem mój drogi Garens? Ty jesteś dowódcą oddziału, tobie jednemu przystoi udać się do położonego kościoła tej okolicy. Proszę cię, idź. Obiecuję ci, że po wojnie, całą tę rzecz opiszę wierszem w *Revue des Deux Mondes*. Należy się to od ciebie twoim ludziom. Od miesiąca maszerują z tobą.



Podniosłem się, pytając:

Gdzie jest plebania?

Pójdiesz drugą ulicą na lewo, na końcu znajdziesz ścieżkę, na końcu tej ścieżki jest kościół. Obok znajduje się probostwo.

Gdy wychodziłem, on jeszcze zawołał za mną:

Powiedz mu, jakie będzie menu, żeby mu narobić apetytu.

Wkrótce odnalazłem bez trudu mały domek księdza, w pobliżu wielkiego, brzydkiego, z cegieł postawionego kościoła. U drzwi nie było ani dzwonka ani młotka, waliłem w nie więc pięściami. Jakiś silny głos zapytał ze środka:

Kto am?

Marszałek od huzarów, odrzekłem.

Posłyszałem obrót klucza w zamku i znalazłem się wobec wielkiego, o wypukłym brzuchu księdza, mającego ramiona szerokie jak siłacz, ogromne ręce wychodziły z zakasanych rękawów, o różowej cerze twarzy, — wszystko to zdradzało dzielnego człowieka.

Powitałem go ukłonem wojskowym.

— Dzień dobry księżę proboszczu.

On obawiał się zapewne napaści, zasadzki ze strony włóczęgów, lecz na mój widok uśmiechnął się i odpowiedział:

— Dzień dobry mój przyjacielu, raczy pan wejść. Wszedłem za nim do małego pokoju w którym palił się nędzny ogień, tak bardzo odróżniający się od ogniska roznieconego przez Marchas.

Wskazując mi krzesło zapytał:

— Czem mogę panu służyć?

— Pozwoli ksiądz proboszcz, że mu się najpierw przedstawię.

I podałem mu moją kartę.

Wziął ją do ręki i półgłosem czytał:

— Hrabia de Garens.

— Jest nas jedenastu, księżę proboszczu, pięciu na pikiecie, a sześciu zakwaterowanych w jakimś nieznanem domostwie. Ci sześciu nazywają się, Garens, tu obecny, Piotr de Marchas, Ludwik de Poudernel, baron d'Etrellis, Karol Massouliny, syn malarza i Józef Herbou, młody muzyk. Przychodzę w ich i w mojem imieniu prosić księdza proboszcza, by zechciał zrobić nam ten zaszczyt wieczerzania dziś z nami. Wszak to jest kolacya Trzech Króli, księżę proboszczu, i chcielibyśmy wesoło ją spędzić.

Ksiądz uśmiechnął się, potem odrzekł:

— Zdaje mi się, że to nie jest wcale sposobność do zabawy.

Odrzekłem:

— Bijemy się codziennie, księżę proboszczu. W ciągu miesiąca, czternastu z naszych kolegów zginęło, trzech jeszcze wczoraj padło. To jest wojna. Narażamy nasze życie bezustannie, czyż nie mamy prawa zabawić się? Jesteśmy francuzami, lubimy się śmiać, śmiejemy się wszędzie. Ojcowie nasi śmiali się na szafocie! Dzisiejszego wieczoru chcielibyśmy ożywić się trochę, jako ludzie z towarzystwa, a nie jak starzy żołnierze. Czyż nie mamy racyi?

Odrzekł z żywością:

— Macie słuszość mój przyjacielu i z przyjemnością przyjmuję wasze zaproszenie.

Zawołał:

— Hermancyo!

Zjawiła się stara, pomarszczona i pokrecona wieśniaczka i zapytała:

— He? A co tam?

— Nie będę dziś w domu na kolacyi.

— A gdzież to jegomościu będziecie jedli?

— Z panami huzarami.

Miałem ochotę powiedzieć, żeby przyprowadził tę wiedźmę, już dlatego samego, żeby zobaczyć minę Marchas. Nie śmiałem jednak.

Natomiast zapytałem:

— Czy pomiędzy parafianami pozostałymi w wiosce niema nikogo z mężczyzn lub z kobiet kogo mógłbym także zaprosić?

Wahał się chwilę, namyślał i oświadczył:

— Nie, nikogo!

Nalegałem:

— Nikogo! Ależ poszukajno, księżę proboszczu! Byłoby to bardzo elegancko, gdybyśmy mieli damy. Już ja się rozumiem na przyjęciach! Czy ja wiem kogo? Może piekarza z żoną, może sklepikarza, może... może... zegarmistrza.... może... podróżnika... może... aptekarza z panią aptekarkową... Mamy doskonałą ucztę, z winem, bylibyśmy zachwyceni gdybyśmy mogli zostawić po sobie tutaj dobre wspomnienie.

Ksiądz myślał jeszcze chwilę, poczem odrzekł stanowczo:

— Nie, nikogo.

Zacząłem się śmiać:

— A to dalipan księże proboszczu przykra rzecz żeby nie mieć królowej w dzień Trzech Króli. No, no księżuniu, poszukaj! Cóż to, czy niema wójta żonatego, żonatego asystenta, jakiego radnego żonatego, ostatecznie przedsiębiorcy?

— Nie, wszystkie kobiety wyjechały.

— Ale, cóż znowu; jakto, to niema w całej okolicy ani jednej dzielnej mieszczanki z mężem, której moglibyśmy zrobić tę przyjemność, gdyż byłaby to przyjemność dla nich, i to wielka, w obecnych okolicznościach?

Nagle proboszcz zaczął się śmiać, aż się trząsał cały i zawołał:

— Ach! Ach! Już mam, Jezus Marya, już mam! Ach! Ach! Będziemy się zaśmiewać moje dzieci, a to się ubawimy. I one będą bardzo zadowolone, ach! ach!.... Gdzież to stoicie?

Opisałem mu dom naszej kwatery. On zrozumiał:

— Dobrze. To jest posiadłość Bertin-Lavalle. W pół godziny przybędę z czterema damami!! Ach! ach! z czterema damami!!...

Razem ze mną wyszedł, śmiejąc się ciągle i pożegnał się, zapewniając:

— A zatem, za pół godziny, dom Bertin-Lavalle.

Zdziwiony, zaintrygowany bardzo, wracałem.

— Ile nakryć? Zapytał Marchas, spostrzegając mnie.

— Jedenaście. Nas jest sześciu, potem proboszcz i cztery damy.

Oślupiał. Ja tryumfowałem.

Zapytał:

— Cztery damy! Mówisz: cztery damy?

— Powiedziałem: cztery damy.

— Prawdziwe kobiety?

— Prawdziwe kobiety.

— A! Serdeczne dzięki!

— Przyjmuję je, zasłużyłem na nie.

Zerwał się z fotelu, otworzył drzwi i spostrzegłem piękny, biały obrus, narzucony na długi stół, na którym trzech huzarów w niebieskich fartuszkach, ustawiało talerze i szklanki.

— Będziemy mieli kobiety! zawołał Marchas. Ci trzej zaczęli tańczyć i głośno wyrażać swoje zadowolenie.

Wszystko było gotowe. Czekaliśmy około godziny. Rozkoszny zapach smarzonego ptactwa wypełniał pokoje.

Stuknięcie w okiennice porwało nas wszystkich równocześnie na nogi. Wielki Ponderel pobiegł otworzyć. Po upływie dobrej minuty, mała siostra zakonna zjawiała się w obramieniu drzwi. Była chuda, pomarszczona, nieśmiała i raz po raz kłaniała się przerażonym na jej widok huzarom. Za nią słychać było stuk lasek uderzających o posadzkę przedsionka i gdy weszła do salonu, spostrzegłem idące za nią, jedna za drugą, trzy stare głowy w białych czepkach, kiwające się w chodzie w różne strony, jedna na

prawo druga na lewo. I zjawily się trzy babki z przytułku, kulejące, ciągnące za sobą nogi, okaleczone i pokurczone ze starości, jedyne trzy zdolne jeszcze chodzić pensyonariuszki ze szpitala siostry Saint-Benoit.

Ona zwróciła się do swoich inwalidek z widoczną troską o nie, poczem spostrzegłszy moje galony dowódcy, rzekła:

— Bardzo panu dziękuję, panie oficerze, że pan pomyślał o tych biednych kobietach. One tak mało miały przyjemności w życiu i to co teraz dla nich czynicie, jest wielkiem szczęściem i zaszczytem dla nich zarazem.

W cieniu korytarza widziałem proboszcza, który śmiał się z całej duszy. Ja znowu zacząłem się śmiać, patrząc przedewszystkiem na minę Marchas. Następnie wskazując zakonnicy krzesła: — Raczcie usiąść, moja siostrzo; jesteśmy bardzo dumni i szczęśliwi, żeście przyjęły nasze skromne zaproszenie.

Siostra wzięła trzy krzesła z pod ściany, ustawiła je przed ogniem, przyprowadziła do nich swoje trzy babki, posadziła je na nich, odebrała od nich ich laski i szale i położyła je w rogu pokoju. Następnie wskazując pierwszą, chudą a o ogromnym brzuchu, dotkniętą zapewne wodną puchliną:

— Ta, jestto matka Paumelle, której mąż zabił się spadłszy z dachu, syn zaś jej umarł w Afryce. Ma sześćdziesiąt dwa lat.

Wskazując drugą, ogromną kobietę, której głowa trzęsła się bezustanku:

— Jestto matka Jean-Jean, sześćdziesiąt siedm lat mająca. Nie wyglądałaby wcale na to, gdyby nie to, że poparzoną była w poźarze, i prawą nogę ma w połowie spaloną.

Wskazała nam wreszcie trzecią, pewnego rodzaju idyotkę, z wylupiałemi oczyma, które obracały się na wszystkie strony, duże i głupie:

— To jest matka Pitois, niespełna rozumu. Ma tylko lat czterdzieści cztery.

Ukloniłem się trzem kobietom jak gdybym został przedstawionym księżniczkom i zwracając się do proboszcza:

— Jesteś księżu proboszczu, nieocenionym. Wszyscy tutaj jesteśmy ci niewymownie wdzięczni.

Wszyscy w istocie śmiali się, z wyjątkiem Marchas, który wydawał się wściekły.

— Proszę siostry Saint-Benoit, kolacya na stole, zawołał nagle Karol Massouligny.

W pierwszą parę przeszła do jadalni siostra z proboszczem, ja zaś podniosłem matkę Paumelle i nie bez trudu ciągnąłem ją pod ramię, gdyż jej rozdęty brzuch wydawał się cięższym jak żelazo.

Wielki Poudernel podźwignął matkę Jean-Jean, która jęcząc oglądała się za swoim szczudłem. Mały zaś Józef Herbou prowadził idyotkę do jadalni, przepełnionej zapachem mięsiwa.

Gdyśmy usiedli na swoich miejscach, siostra klasnęła trzy razy w ręce i wszystkie cztery kobiety z dokładnością żołnierzy prezentujących

broń, zrobiły szybki znak krzyża. Proboszcz zaś potem, powoli wyrzekł po łacinie modlitwę: „Benedicite“.

Dwie pierwsze kury zjawily się, podawane przez Marchas, który wołał usługiwać, aniżeli być uczestnikiem tej śmiesznej biesiady.

Ja zaś zawołałem: Prędko szampana!

Korek wyskoczył z hukiem wystrzału i mimo sprzeciwu proboszcza i siostry, trzech huzarów siedzących koło trzech babek, siłą wlało im do ust, trzy pełne szklanki wina.

Massouigny, który miał talent wszędzie być sobą i w zgodzie ze wszystkimi, nadszakał w śmieszny sposób matce Paumelle. Hydroficzka, która mimo swej choroby miała zresztą wesołe usposobienie, bałamuciła go również swoim fałsetowym głosem i śmiała się tak mocno z żartów swojego sąsiada, że aż jej wielki brzuch zdawał się wyskakiwać na stół. Mały Herbou wziął sobie na seryo za zadanie upić idyotkę, a baron d'Etrealis, zawsze poważny, wypytywał matkę Jean-Jean o tryb życia, zwyczaje i regułę szpitalną.

Zakonnica przerażona wołała do Maussouigny:

— Och! Och! Przez pana rozchoruje się jeszcze; proszę pana, nie pobudzaj ją pan do śmiechu. Och! panie...

Następnie, podnosząc się usiłowała wyrwać Herbou szklankę z winem, lecz on je szybko wlewał w usta, na pół pijanej już idyotki:



— Daj pokój, ten jeden raz jej nie zaszkodzi.  
Daj pokój.

Po dwóch kurach przysła na stół kaczka w otoczeniu trzech gołębi i kosa; zjawiała się także i geś, dymiąca, przyrumieniona, roztaczając zapach ciepłego, tłustego mięsa.

Babka Paumelle rozbawiona klaskała w ręce, babka Jean-Jean przestała odpowiadać na liczne pytania barona, zaś Pitois wydawała z radości jakieś pomruki, to znów wykrzyki, podobnie jak robią to dzieci na widok pokazywanych im cukierków.

— Pozwolicie panowie, rzekł proboszcz, że się zajmę tem stworzeniem. Rozumiem się na tych operacjach, jak mało kto.

— Ależ prosimy księżę proboszczu.

Siostra Saint-Benoit odezwała się:

— A gdyby tak otworzyć nieco okno? Jest im za gorąco. Jestem pewna, że rozchorują się. Zwróciłem się do Marchas:

— Otwórz na chwilę okno.

Gdy okno otworzył, zimne powietrze wionęło poruszając płomienie świec i rozpraszając zapach gęsiny, którą proboszcz z serwetą na szyi, umiejętnie na kawałki dzielić począł.

Zaciekawieni tą jego powabną pracą, spoglądaliśmy na jego ruchy rąk, zaprzestawszy mówić, połykając ślinę na widok tego dużego wypieczonego ptaka, z którego kawałki odpadały jeden po drugim na boki półmiska.

Nagle wśród tego łakomego milczenia wpadł

przez otwarte okno odgłos dalekiego wystrzału.

Zerwałem się tak prędko, że krzesło moje w tył się potoczyło i zawołałem:

— Wszyscy na koń! Ty Marchas weźmiesz dwóch ludzi i pojedziesz dowiedzieć się co się stało. Za pięć minut masz wrócić.

Podczas gdy trzech kawalerzystów oddalało się galopem w noc ciemną, ja wskoczyłem na siodło i z moimi dwoma innymi huzarami stałem przed gankiem willi, proboszcz zaś, siostra i trzy babki wystraszeni, wyglądali przez okna.

Nie było nic słyhać, jak tylko szczekanie psa z oddali. Deszcz przestał padać, zimno wzma gało się. Wkrótce dał się słyszeć znowu galop jednego konia, który powracał.

Był to Marchas. Zawołałem do niego:

— No i cóż?

Odrzekł:

— Nic się nie stało, François zranił jakiegoś starego wieśniaka, który odmówił odpowiedzi na wołanie: „Kto idzie“? i szedł dalej mimo zakazu. Niosą go tu zresztą, zobaczymy co to za jeden.

Polecilem odprowadzić z powrotem konie do stajni i wysłałem dwóch moich żołnierzy naprzeciw innych, sam zaś wróciłem do pokoju.

Marchas, proboszcz i ja, znieśliśmy materac do salonu, by na nim złożyć zranionego, siostra zaś, targając na kawałki serwetę, przygotowywała szarpie. Podczas tego trzy przerażone babki skupiły się w jednym rogu salonu.

Wkrótce dał się słyszeć szcęk szabel wlokących się po drodze.

Pochwyciwszy świecę, wyszedłem oświetlić moim ludziom drogę. Zjawili się, niosąc jakąś postać bezwładną, długą, ociążałą, jakiem się staje ciało ludzkie nie podtrzymywane życiem.

Złożono rannego na przygotowanym materacu, na pierwszy rzut oka jednak spostrzegłem, że był to już umierający. Krew płynęła z kątów jego ust za każdym oddechem. Cały ten człowiek był nią już obryzgany. Policzki, broda, jego włosy, jego szyja, jego ubranie, zdawały się być skąpane w czerwonej pianie. Krew ta krzepła na nim, czerniała zmieszana z błotem, straszny przedstawiała widok.

Starzec zawinięty w wielką płachtę pasterską, chwilami otwierał smutne, gasnące oczy, oczy tracące wyraz myśli i życia, pełne niezrozumiałego zdziwienia, o wyrazie zabijanego zwierzęcia, w trzech czwartych już martwe, błędne z przerażenia.

Proboszcz zawołał:

— Ach! To ojciec Placide, stary pasterz. On jest głuchy, biedak, nic nie słyszał. Ach! mój Boże! zabiliście go!

Siostra odkrywszy bluzę i koszulę patrzyła na mały, na środku piersi widniejący siny otwór, który już nawet nie krwawił.

— Niema tu już nic do roboty, rzekła.

Pastuch, dysząc okropnie, wypluwał za każdym oddechem gęstą krwawą pianę, z gardła zaś wydobywało się ustawiczne, przykre charczenie.

Proboszcz stanawszy nad nim, prawą ręką zrobił znak krzyża i głosem powolnym a uroczystym wypowiedział po łacinie słowa rozgrzeżenia.

Zanim je skończył, starcem wstrząsnął krótki skurcz, jak gdyby w nim coś się zerwało. Przeszedł oddychać. Nie żył.

Odwróciwszy się, zobaczyłem widok jeszcze bardziej przerażający jak agonia tego nieszczęśliwego: trzy staruszki stały przyciśnięte jedna do drugiej, twarze zaś ich wykrzywiały wstrętne kłurcz obawy i przerażenia.

Zbliżyłem się do nich, lecz one poczęły przeraźliwie krzyczeć i uciekać, jak gdybym i je chciał zabić.

Babka Jean-Jean, nie mogąc utrzymać się na spalonej nodze upadła jak długa na ziemię, siostra Saint-Benoit, opuściwszy umarłego pobiegła do swoich kalek i bez jednego słowa i spojrzenia dla mnie, okryła je, ich szalami, podała im ich laski, wypchnęła je przez drzwi, wyszła i zniknęła z nimi wśród głębokiej i ciemnej nocy.

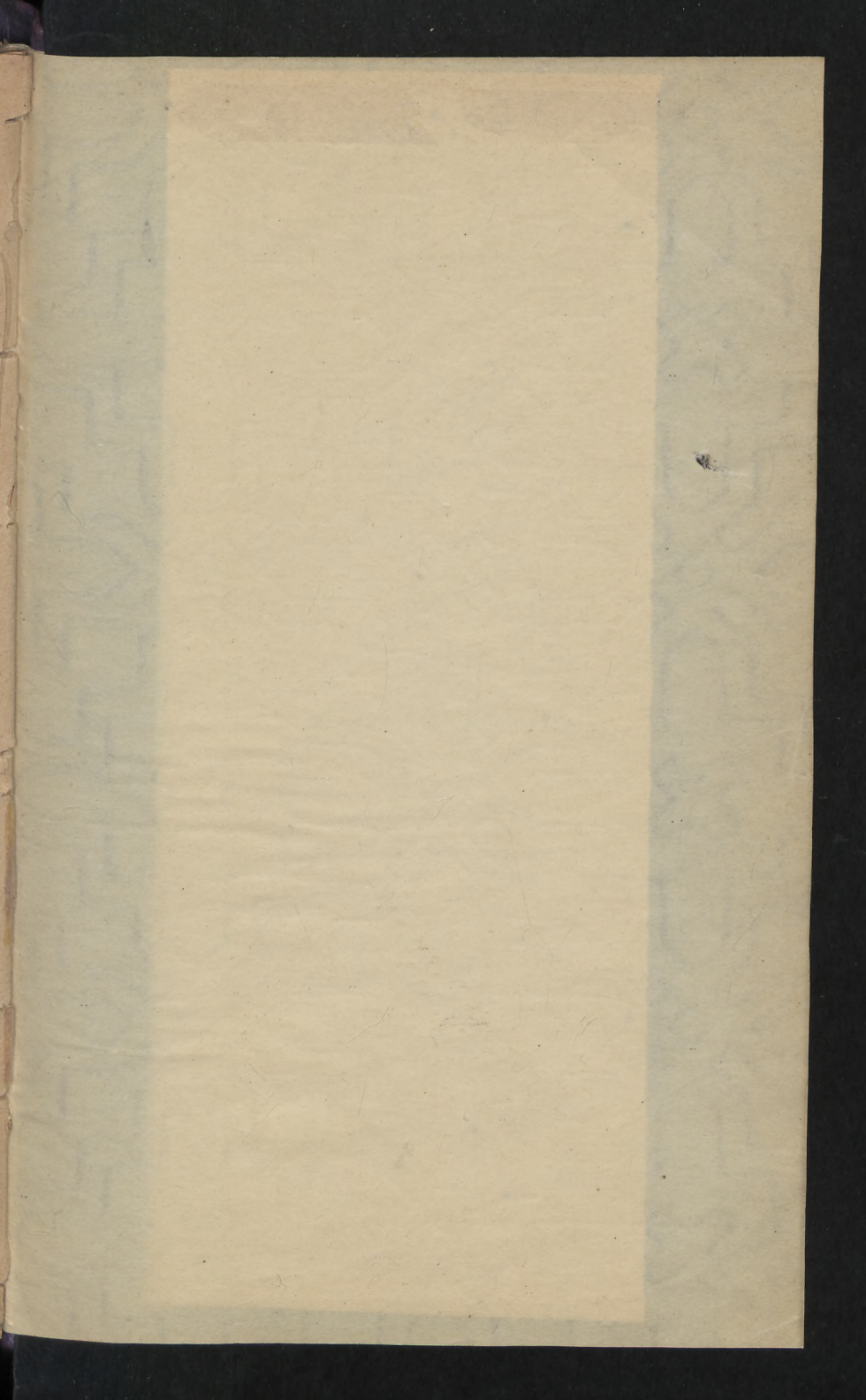
Zrozumiałem, że niemożliwym było kazać je odprowadzić przez którego z huzarów, sam bowiem szcęk szabli wprowadził je w obłąd.

Proboszcz spoglądał smutnie na umarłego. Zwróciwszy się wreszcie do mnie, rzekł:

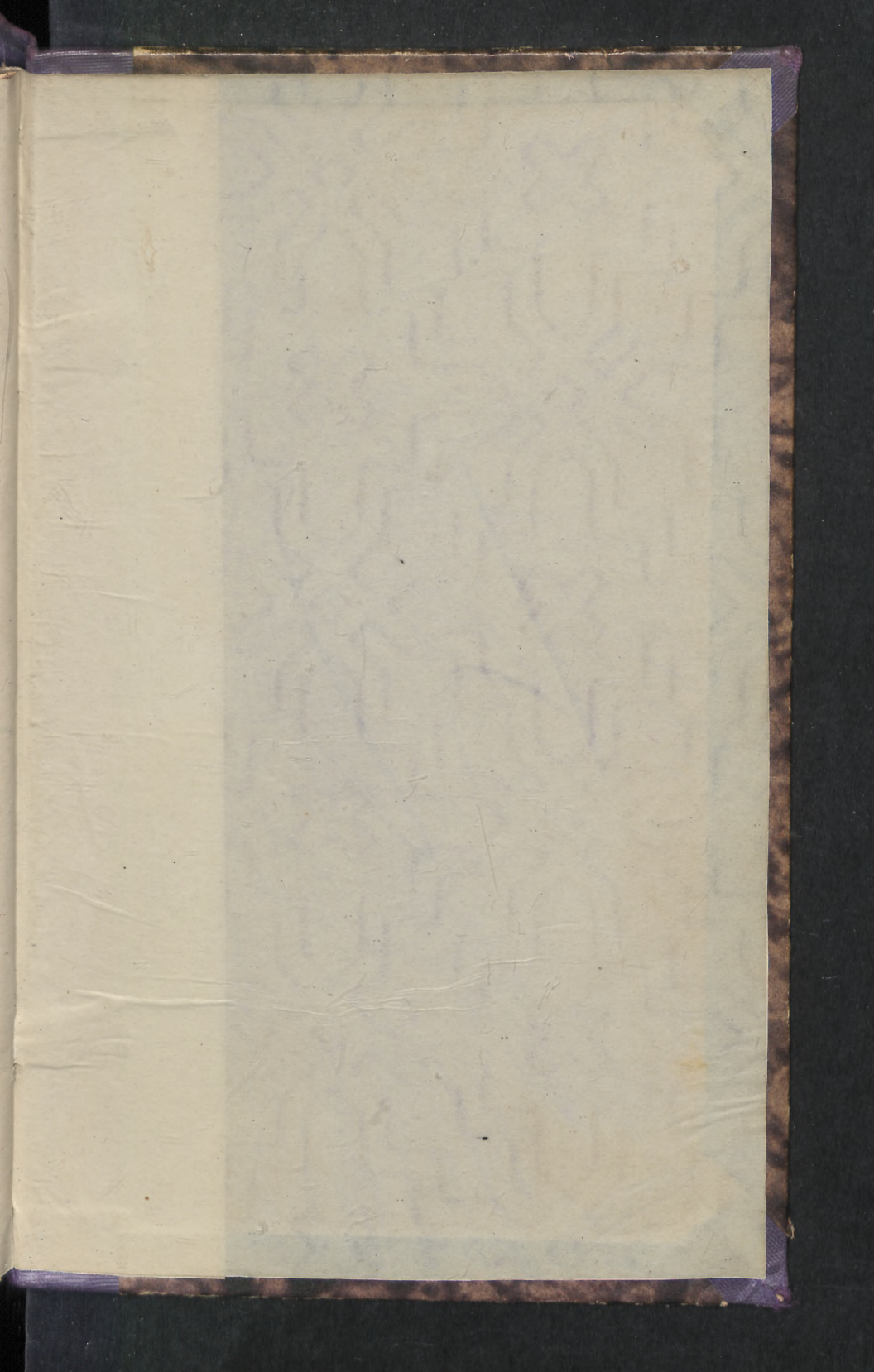
— Ach! — Cóż to za fatalna rzecz się stała!



368



DATA ZWROTU



Pedagogiczna  
Biblioteka  
Powiatowa  
w Karfuzach

368

Wydawnictwo  
PWN